

Eliza Orzeszkowa

Gloria victis



Eliza Orzeszkowa
Gloria victis

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=21104878

2016

Содержание

Oni	4
I	6
II	29
III	49
Oficer	75
I	78
II	93
III	106
IV	115
Конец ознакомительного фрагмента.	127

Eliza Orzeszkowa

GLORIA VICTIS

Oni

(tom opowiadań)

(R. 1863)

...Był w zamkniętym, cichym pokoju wieczór zimowy, długi, gdy ta dawna znajoma moja, z twarzą na światło lampy obróconą, z wnętrza głębokiej zadumy mówiła:

— Pytanie twoje o moje wspomnienia, prośby twoje, abym swoje wspomnienia twojej pamięci powierzyła, przenoszą „duszę moją utęsknioną w wiosnę ową, w ów sen, w ową godzinę, którą nigdy zegar przeznaczeń wydzwonił wielkim głosem.

Wiosna przeminęła, sen zgasł, godzina umarła i dusze ludzkie pozostały za nimi daleko, wirem życia coraz dalej unoszone, lecz wiecznie je pomnę.

O, wiosno! kto cię widział w naszym kraju,

Pamiętna wiosno.....

Kto cię widział, jak byłaś.....

Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!

Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!

Przesunęła mi się o wczesnym poranku życia jak sen złoty i krwawy, zniknęła. Po świetle rozlała się ciemność. W ciemności miałam duszę wiecznie utęsknioną i za słonecznymi, złotymi snami goniącą — po polach, nad którymi stały cisze głuche i hasały ponure wichry.

Chcesz okrucha, momentu, fragmentu tej wiosny. Dobrze. Posłuchaj!

I

Miałam lat dwadzieścia, lecz pomimo młodości tak wczesnej, dla przyczyn, które pomijam, bo z moją osobą tylko były w związku, wiedziałam o wszystkim, co się dokoła działo i nikt z niczego tajemnicy przede mną nie czynił. To tłumaczy, że w momencie owym znajdowałam się w tym domu i że byłam świadkiem sceny tej, o! bardzo ważnym i wzruszonym.

Dom był jednopiętrowy, obszerny, na biało otynkowany, mający przed sobą dziedziniec bardzo rozległy, a za sobą wysokie oparcie drzew ogrodowych. Wszystko, co otaczało dom ten i znajdowało się w jego wnętrzu, oznajmiało dostatek wielki i smak wykształcony. Pięknie tam było, zamożnie, wytwornie i dotąd spokojnie.

Ale teraz anioł spokoju z ziemi tej odleciał i rozlało się po niej wrzenie głucho, bo tajemnicą okryte, tym namiętniejsze i tym tragiczniejsze. Było to wrzenie serc i głów w kotle niewoli, pod pokrywą tajemnicy.

W obszernym i ozdobnym wnętrzu domu toczyły się gwarne rozmowy trzydziestu około mężczyzn różnego wieku i różnej powierzchowności. Na dnie gwaru tego czuć było niewypowiedziane, lecz niespokojne oczekiwanie.

Byli to członkowie organizacji powstańczej paru powiatów poleskich, oczekujący na przybycie jednego ze współobywateli swoich, który dziś przed nimi miał złożyć oświadczenie, że

przyjmuje dowództwo nad miejscowym oddziałem zbrojnym lub że je odrzuca.

Prawie powszechne było zdanie, że nie odrzuci, ale pewności zupełnej nie posiadał nikt. Nikt z obecnych nie znał go z bliska, wielu nie znało go wcale. Jednak od kilku już miesięcy imię jego wymawiane było w okolicy bardzo często.

— On jeden mógłby! — mówiono. — On tylko jeden!

I czoła mówiących powlekały się troską, bo jeżeli on nie zechce, nikt w tych stronach nie potrafi. A ręką nieumiejętnym, sztuce wojskowej obcym, zadanie to powierzać...

Nietrudno było przypuszczać, że nie zechce, bo zadanie posiadało wagę i grozę rzeczy niezmiernie wysokich i niebezpiecznych.

Ten, kto zadania tego miał się podjąć, musiał posiadać bary Atlasa i serce gardzące mieczami Damoklesowymi. Mnóstwem mieczy najeżone było to zadanie i krwawiły się na nich napisy: Odpowiedzialność, Męka, Śmierć. Trzeba było porzucić wszystko, co było miłe, kochane, spokojne, bezpieczne, a pójść pomiędzy te miecze, w ich błyskawice i w ich mordercze szczęki. Trzeba było zwyciężyć albo zginąć; trzecie wyjście z koła ich nie istniało. Zwyciężyć zaś łatwo nie będzie; owszem, stokroć trudniej aniżeli poprzednikom, którzy w epizodach minionych tej już prawie stuletniej walki — nie zwyciężyli. Więc trzeba było mieć głowę zapaloną takim pożarem idei, aby w jego blaskach oślepnąć całkowicie na samego siebie, na wszystko, co nie jest przedmiotem tej

idei i jej ofiarnym ołtarzem. Trzeba było w samej nawet kłęsce, zza zasłon czasu dostrzeżonej, widzieć krwawe, lecz nieśmiertelne ziarno przyszłego zwycięstwa i umieć na grób własny patrzeć żrenicą nie tylko niewzruszoną, lecz jeszcze rozradowaną przez myśl i nadzieję, że kiedyś, w pokoleń i czasu oddali z emanacji przez grób ten wyziewanych powstanie krwią przelaną nieśmiertelniony Arcyzwycięzca, Duch.

Zdarzać się wprawdzie mogło, że w koło to wstępowało, w krater ten wskakiwało uniesienie lekkomyślne, uniesienie młodzieńcze, nie znające faktów, liczb, możliwości, niemożności, wzgardliwie omijając wszystko, co nie jest żądzą serca, marą wyobraźni.

Ale o nim wiedzieli wszyscy, że w sile męskiej wieku będąc, młodzieńcem już nie był, że wiele wiedział, umiał, że w rzemiośle wojskowym był biegły. W tych stronach poleskich urodzony, młodość daleko stąd przepędził, w wojnach brał udział, twarde prawo żelaza i liczby znał. Pułkownik jednego z uczonych działów ogromnej armii, drogę miał przed sobą daleką, może z wysokimi szczytami u kresu. I nagle rozstał się z tą drogą, zerwał z przeszłością, wyrzekł się przyszłości, do rodzimej swej wsi poleskiej powrócił, w niej osiadł. Niedawno, zaledwie przed miesiącami.

Nikt go tu z bliska nie znał, więc nikt nie wiedział, na jaką miarę pierś jego skrojona. Bo posiadać rozum, umiejętność, biegłość w fachu, nie zawsze znaczy to być człowiekiem mającym serce wielkie.

Kto wie, jak postąpi?

Poselstwo, przed niewielu dniami do niego wysłane, odpowiedzi stanowczej nie przywiozło. Przyniósł, że dziś przed zgromadzonymi członkami organizacji stanie i postanowienie swoje oświadczy.

Tymczasem nie przyjeżdża.

Pora dnia już późna. Właściwie dzień już się skończył. W salonach służba zapaliła lampy. Jasne światło rozlało się po obrazach, sprzętach, kwitnących roślinach, obciążających stoły książkami, dziennikami, albumami. Przez kilka okien otwartych na wieczór kwietniowy, dziwnie ciche i ciepły, wlatywał zapach narcyzów i mieszał się w powietrzu z jasnym światłem lamp.

Jasno i wonnie było w salonach, jednak stawać się zaczęło chmurnie i duszno.

Rozmowy leniwiły, gwar głosów przycichał, na czołach osiadały chmury.

Gospodarz domu, urodziwy i rostry brunet w średnim wieku, z czołem wyniosłym i ustami przybierającymi często zarys mądrych, lecz sarkastycznych uśmiechów, z kilku starszymi gośćmi przechadzał się po salonie, coraz więcej milczący i roztargniony. Oni, ci goście, z pobłyskującą srebrem siwizną na głowach, kiedy niekiedy przystawali, przysłuchiwali się czemuś, zdawali się na coś oczekiwać.

Co chwila ktoś wysuwał się z salonu, wychodził na ganek domu i w zmierzchu łagodnego wieczoru wpatrzony wyteżał wzrok i słuch.

Inni otwierali leżące na stołach dzienniki, albumy, lecz łatwo było zgadnąć, że kart, na które patrzyli, nie widzieli, z myślą około czegoś innego krążącą.

Inni jeszcze u otwartych okien stojąc zamieniali się półgłosnymi słowami, często milknąc, w zamyśleniu.

Wśród tych u okien stojących najwyraźniej dziś dostrzegam szlachetną twarz Władysława Orszaka. Postawę miał ciężką nieco, ruchy powolne i mowę nieco powolną, rozważną. Starzej nad swoje lat czterdzieści wyglądający, oczy zmęczone i smutne wznosił ku górze, ku zawieszonym za oknem mrocznym błękitom, a pod bujnym, ciemnym wąsem łagodnymi jego ustami poruszały ledwie dostrzegalne drgania. Jakby modlił się. Może. Światło lampy pozłacało mu ciemne włosy i brodę na szeroką pierś spadającą.

Najmłodszy z towarzystwa do nas, kobiet, się zbliżyli. Nas, kobiet, było tylko dwie. Gospodyni domu, ładna, wiotka, trochę tylko ode mnie starsza, tuż przy mnie na małej kanapce siedziała. Zbliżył się do niej i do mnie bardzo wysoki, atletycznie zbudowany brunet, którego dla rysów rzymskich i cery południowej Scypionem czasem nazywano. Powierzchnowość to była człowieka śmiałego, mocnego w uczuciach i woli. Oczy płonęły jak czarne diamenty, usta pod czarnym wąsem gorzały purpurą. Przy nim niebawem stanął typ młodzieńczy zupełnie odmienny. Południe i północ.

Postawa wysmukła, raczej wątła niż silna, twarz biała, włosy złote, wesołość niemal dziecinna w błękitnych oczach. Słynny

na szeroką okolicę z namiętności myśliwskiej, ze znakomitej jazdy konnej, z wprawy strzeleckiej. Przeszłość krótka bardzo, lecz w której nic nie zapowiadało polotu ku gwiazdom lub pociągu ku otchłaniom. Trzeci, który się zbliżył, jeszcze prawie student, przez nas z powodu pokrewieństwa bliskiego po imieniu Florentym nazywany. Ze studiów uniwersyteckich przywiózł z sobą demokratyzm gorący, zawzięty, w myśli, sercu i mowie wciąż jakby pacierz odmawiający deklinację: lud, ludowi, dla ludu, przez lud, w ludzie... Ogorzały, barczysty, łączył w sobie z demokratycznym sposobem myślenia nieco też demokratyczną, umyślną rubasznosc ruchów i słowa, gdy z szarych oczu patrzyła na świat miękka, litościwa, wciąż ku wyżynom wzlatająca dusza marzyciela.

Stanęli przed nami i zaczęli mówić o nim.

— Spotkałem się z nim, widziałem go, to człowiek niezwykły, na wodza stworzony. Przyrzekł, więc przyjedzie... Tacy ludzie, gdy coś przyrzekną...

— Rzecz prosta, że przyjedzie. Czy dowództwo przyjmie? nie wiadomo...

— Przyjmie niezawodnie...

— Dlaczego niezawodnie?

Gospodarz domu zbliżył się do żony i z cicha rzekł:

— Jest już tak późno, że kazałem podawać wieczerzę. Proś gości, Stefuniu!

Wysokie czoło przeszywała mu zmarszczka niezadowolenia i w zarysie ust tkwił wyraźniejszy niż kiedykolwiek sarkazm.

Jeden ze stojących przed nami młodzieńców z drgnieniem ironii w głosie zapytał:

— Pan już zwątpił?

— Zwątpilem.

— Ja nie.

— Ani ja.

Gospodarz zawołał:

— Szczęśliwa młodość!

— Dlaczego szczęśliwa? — zapytały trzy młode głosy, w których brzmieniu czuć było już rozniecającą się iskrę tych sporów, uraz, zażaleń, które od roku, może więcej, wybuchały tu pomiędzy ludźmi starszymi a młodszymi co dzień, co godzinę, gorące, czasem namiętne i gwałtowne.

Gospodarz domu sympatii młodego pokolenia nie posiadał, o! nie, za ironię, za to, co nazywało ono chłodem uczuć, może trochę za dumę człowieka wysoko wykształconego i możnego. Tym razem jednak znikł mu z ust bez śladu wyraz ironii.

— Dlatego — odpowiedział — że młodość to wiara, która uszczęśliwia, gdy wątpienie boli.

Mówił szczerze. Z wyrazu czoła i oczu znać było, że go coś dojmująco, głęboko bolało.

Wkrótce wchodziliśmy wszyscy do wielkiej sali jadalnej, w której długi stół, okryty naczyniami stołowymi, błyszczał w rześistym świetle lamp i świec.

W głębi sali, naprzeciw drzwi, przez któreśmy wchodzili, rysowała się na jasnym tle ściany kolumna z czarnego drzewa,

z okrągłym wyrżnięciem w głowicy. Był to staroświecki zegar, aż pod sufit prawie wznoszący swe oblicze wielkie, okrągłe, białe, czarnymi zmarszczkami wskazówek przeorane. Wyglądał jak symbol czasu, z góry i obojętnie spoglądający na ludzkie zachody, niepokoje, losy.

Był moment krótki, w którym zebrani, na znak gospodyni domu oczekując, otaczali stół w postawach stojących. Ona, stojąc również, na kilka osób nieco spóźniających się oczekiwała. Po sali płynął niegłośny szmer rozmów, dwie nasze kobiety suknie rzucały na czarne tło ubrań męskich plamy jasne i w blasku lamp świetliste.

W tym właśnie krótkim momencie za oknami rozległ się turkot kół. Szmer głosów rozmawiających umilkł, salę zaległa cisza. Nikt nie usiadł. Po wszystkich twarzach rozlał się wyraz zaniepokojenia; niektóre z nich trochę pobladły.

Gospodarz domu śpiesznie do przedpokoju wyszedł i po minutach kilku już spóźnionego gościa obecnym przedstawiał.

Po wielkiej sali, w rześystym świetle, wśród ciszy zupełnej i trzydziestu paru oczu w jednym punkcie utkwionych, rozległo się imię i nazwisko — Romualda Traugutta.

Jednocześnie w głębi sali, prawie pod sufitem, zabrzmiał metaliczny, basowy dźwięk. Zegar z białą twarzą w czarnej obwódce uderzać zaczął godzinę. Dziesięć z kolei dźwięków metalicznych, głębokich płynęło górą, gdy dokoła stołu brzmiały nazwiska gości, z którymi gospodarz domu przybyłego najpóźniej zaznajamiał.

Przyczyna opóźnień z łatwością wyjaśniona została: jakiś prosty i pospolity wypadek w kilkumilowej podróży po złych jeszcze drogach wiosennych.

Miał lat trzydzieści sześć i na wiek ten wyglądał, wzrost średni, budowę ciała więcej sprężystą i szczupłą niż silną, a w ruchach łatwych, pewnych siebie, w postawie wyprostowanej coś, co przypominało typy wojskowe. Od pierwszego wejrzenia rzucała się w oczy głęboka czarność jego włosów tak obfitych, że dwie ich fale, jedna nad drugą, wznosiły się nad czołem śniadym, kształtnym, przerżniętym od brwi aż prawie po włosy pionową linią głębokiej zmarszczki. Oczy niełatwo było dostrzec, bo okrywały je szkła okularów, lecz wśród owalu śniadej twarzy uwagę zwracały usta bez uśmiechu, spokojne i poważne. Może ta powaga ust i ta zmarszczka na czole przedwczesna sprawiały, że w powierzchowności tej uderzał przede wszystkim wyraz myśli surowej, skupionej, mało mównej. Nic miękkiego, giętkiego, ugrzecznionego, nic z łatwością wylewającego się na zewnątrz. Tylko myśl jakaś panująca, przeogromna, nieustannie w milczeniu, w skupieniu pracująca i pod jej pokładem jakiś tajemny upał uczuć, który na czole wypalił przedwczesną zmarszczkę i gorącym kolorytem powłókł milczącą twarz.

Znać było, że daleko chętniej milczał, aniżeli mówił. Do rozmowy o rzeczach potocznych, która toczyła się w czasie wieczery, mieszał się rzadko i obojętnie, krótkimi słowami. W zamian niepodobna było nie dostrzec, że wzrokiem bada otaczające, świeżo poznawane twarze. Może w duchu, gotującym

się do spełnienia jednego z najdramatyczniejszych aktów, jakie przez duch człowieczy spełnionymi być mogą, zapytywał o wartość i siłę swoich w dramacie współaktorów.

Cicho za odchodzącą służbą pozamykały się drzwi sali; wszyscy siedzieli w milczeniu dokoła długiego stołu, z którego zdjęte już były okrywające go wprzód naczynia.

Gospodarz domu w postawie stojącej przemawiał.

Mówił o tym, że niedawno jeszcze przeciwny był rozpoczynającemu się w kraju ruchowi i powstrzymywać go usiłował, nie dlatego, aby mniej od kogokolwiek pragnął wolności i szczęścia kraju, ale że pora nie zdawała mu się wybrana trafnie ani siły dość przygotowane, ani szanse zwycięstwa równe szansom klęski, która jeżeli nastąpi, przyniesie następstwa wagi nieobliczalnej, najpewniej bardzo ciężkiej. Mniemał, że cierpliwe oczekiwanie na moment sposobny, na zbieg okoliczności dla walki pomyślny, na powiększenie sił i zasobów do niej, nie mniej jest warte od rzucenia się w walkę ze szlachetnym i choćby bohaterskim zapałem w sercu, lecz bez należytej orientacji w głowie, bez wagi w rękę i arytmetycznej tablicy przed oczyma.

— Czciocielem rozumu jestem i tych szkiełek mędrca, które wyśmiewać ma prawo poezja, lecz których polityka sprzed oczu usuwać nie powinna. Dlatego odradzałem, walczyłem z prądem, usuwałem się na stronę. Byłem biały...

Przy słowach ostatnich podniósł głowę i śmiałym spojrzeniem spotkał się z niechętnymi, ironicznymi uśmiechami, które na

kilka twarzy wystąpiły.

— Nie sam jeden w zgromadzeniu tym jestem, którym tak myślał i nazwę tę nosił. Wszak znajdują się tu współmyślący moi, nieprawdaż?

Wyżej jeszcze podniósł głowę, na odpowiedź czekał. Poważnie kilka głosów odpowiedziało:

— Tak.

Więc mówił dalej:

— Teraz uderzył już dzwon, wielki dzwon historyczny i nie białym, ale czarnym byłby ten, kto by na dźwięk jego głuchy pozostał. Istnieje coś, co gdy raz nad powierzchnię ziemi wystąpi, zgładzone z niej być nie może. Tym czymś jest fakt. Fakt zbrojnej walki stał się. Znaczna część kraju w ogniu jej już stoi. Jakkolwiek niebezpieczeństwa czy niepodobieństwa mógłby dla niej i przez nią spostrzegać rozum, on również wskazuje, że przeciw niebezpieczeństwom i niepodobieństwom, przeciw hańbie także, która zuchwałych a niedołęжных okrywa, orężem ratunkowym może być tylko nasza jedność. Mądry syn domu ostrzega przed rozniecaniem ognia nieostrożnym i niewczesnym, lecz kiedy dom już gore, szalony byłby, więcej — przeklęty byłby, gdyby nad nim nie roztoczył ramion czynnych, ratujących! Przekonań człowieka godzina każda odmieniać nie może, ale w godzinie każdej inne być mogą obowiązki. Obowiązkami godziny, która wybiła w kraju naszym, są dla nas: jedność i ofiarność. W nich nadzieja... Bez nich zginiemy...

Wstrzymał się, z głową spuszczoną milczał, myślał. Rumieńce

na policzki, blaski gorące w oczy wstępować mu zaczynały.

— Są to przyczyny, dla których, gdy fakt stał się i godzina nowego obowiązku uderzyła, wstąpiłem do organizacji powstańczej tej poleskiej ziemi i na czele jej stanąłem. I od momentu, w którym rozum mój zatwierdził hasło: jedność i ofiarność! siebie samego i wszystko, co moje: dom, majątek, w potrzebie wolność i życie, siły rozumu, jakimi rozporządzam i pragnienie serca najgorętsze z tych, których znałem kiedykolwiek, złożyłem na usługi sprawy.

U przeciwnego końca stołu zabrzmiały ciche brawa, wyszeptywane przez te same usta, które przed chwilą uśmiechały się ironicznie i niechętnie. Ale mówiący, na ten szmer przyjazny, tak jak przedtem na nieprzyjemne uśmiechy obojętny, mówić kończył:

— W charakterze nowo mianowanego naczelnika organizacji ziemi poleskiej, w imieniu jej i w obecności jej członków, zapytuję pana Romualda Traugutta, czy przyjmie dowództwo nad uformowanym przez organizację zbrojnym oddziałem tej ziemi?

Niewysoki, szczupły, wyprostowany i tylko z pochylonym nieco czołem, na którym upał wewnętrzny wypalił pod falami kruczych włosów przedwczesną zmarszczkę, wstał z krzesła Romuald Traugutt i odpowiedział:

— Z dalekich stron powróciłem tu z myślą, że usługi moje mogą być teraz potrzebne ojczyźnie. Zawód, któremu się oddawałem, przysposobił mnie do ofiarowanego mi zadania,

więc je przyjmuję.

Krótkie to było, proste, skromne, wypowiedziane głosem mającym brzmienie czyste i metaliczne.

Dokoła stołu wszyscy powstali i pochylili się w milczącym ukłonie, po czym salę zaległa chwilowa cisza. Cisza serc, oblewających się potajemnymi łzami wzruszenia i cisza grozy, którą oddychają momenty wyroczne; i ta jeszcze cisza, z jaką nad tym biednym światem kędyś wysoko ważą się na szalach przeznaczenia losy ludzi i narodów.

Pierwszy ciszę przerwał Traugutt.

— Proszę organizację o zdanie spraw z działań dla uformowania oddziału przedsięwziętych i dokonanych, z liczebności tego oddziału, uzbrojenia i wszechstronnych zasobów jego oraz o mapy powiatu i powiatów sąsiednich, czyli topograficznego terenu, na którym rozwijać się będą przyszłe działania wojskowe.

Głos to był nieco inny już od tego, którym przemawiał przedtem. Pobrzmiwała w nim nuta rozkazu, czuć było człowieka, który z zadaniem raz na siebie przyjętym żartować nie będzie i fachowca, który wiedząc dobrze, czego żądać mu należy, żądania swe stawia bez próżnych dodatków i omówień.

Bardzo rychło zjawiły się na stole mapy mniejsze i większe, lecz przed ich rozwinięciem z kolei mówić zaczęli ci, którzy pełniąc w organizacji urzędy dziesiątników i setników zdawali sprawę ze zgromadzonych przez siebie dziesiątków i setek przyszłych zbrojnych partyzantów, cyfry nieduże zresztą, bo

oddziały partyzanckie z samej natury tego rodzaju wojny liczne być nie mogą, potem nazwy broni, ilości jej i gatunki.

Wódz z twarzą ku mówiącym podniesioną słuchał; w szklach, które osłaniały mu oczy, zapalały się, przygasały, migotały odbicia światła, czasem pytania krótkie zadawał, czasem zsuwały się mu brwi czarne i zmarszczka na czole pogłębiała się widocznie. Raz tylko po rysach milczących przepłynęła, wnet znikając, smuga radości. Było to wtedy, gdy przemówił naczelnik zorganizowanej w powiecie poczty obywatelskiej, Władysław Orszak.

Jak zwykle ociężały nieco w poruszeniach, jak zwykle powoli i rozważnie mówić zaczął o potrzebie otaczania partii zbrojnej pilną strażą tych, którzy w domach pozostaną, rozciągania dokoła niej takiej niby sieci drutów telegraficznych, z mężnych woli i serc wyprzedzionych, które by świat z nią i ją ze światem, i jeszcze ludzi jednomyślnie z nią działających, a rozproszonych po świecie — wiązały.

Z twarzą nad wiek przywiedłą, łagodną, od której na piersi spływała ciemna, gęsta broda, z oczyma, w których zmęczonym, lecz czystym błękicie było coś z bolesnych upałów, które długo płonęły tajemnie i bezpożytecznie, mówił o tym, gdzie, jak, przez kogo przewożone, przenoszone będą wiadomości, ostrzeżenia, żądania, wskazania.

Taka poczta nie jest najpodrzedniejszą częścią rozpoczętego dzieła; owszem, jest jego częścią bardzo ważną. Musi być zwinna, ostrożna, umiejąca latać i pełzać, prześlizgiwać się i

umykać. Ale znaleźli się ludzie do roboty tej odpowiedni i pan naczelnik przebaczy, że nie samych starych do niej zabrano, lecz także trochę młodych, którzy już w partii służyć nie będą, dopóki ona w okolicach tych pozostanie. Potem, gdy losy walki przeniosą ją w miejsce inne, i ci z nią się połączą, ale tymczasem do tej strażniczej roboty trzeba także trochę sił niesteranych i z zapalem młodości oddanych sprawie. Bo przecież...

— Bo przecież partia to serca bijące i krew gorąca kilku setek ludzi, to... dziecko marzeń naszych, zabiegów, nadziei, że raz przecie nie jak niewolnicy z duszami zabitymi, lecz jak żywi ludzie żyć będziemy. Trzeba tedy nad nią czuwać, trzeba krwawym zapasom jej troskliwym czuwaniem dopomagać!...

Pochylił twarz, która wraz z czołem pogięła się w mnóstwo fałd i zmarszczek, z łagodnej zwykle stając się posępną. Z każdej jej zmarszczki i z każdej jej fałdy wyglądały gorzkie myśli, ciężkie smutki, długo w milczeniu i niemocy przeżywane. Powoli, głosem głuchym znowu mówić zaczął:

— Powiedziałem: niewolnicy z duszami pozabijanymi. Tak jest. Kiedy ręce skute i usta zakneblowane, to i dusza zrazu usypia, a potem mrze. Byli tacy, którzy powiadali: „Czego wam brak? Spokojnie sobie żyjecie, w dostatkach... po co zdrową głowę pod ewangelię kładzicie?” Otóż to... zdrową głowę! Śmiech gorzki z takiego zdrowia! Nic nam nie było wolno: ani czynić, ani głośno mówić, ani ludu naszego z jarzma niewoli i ciemnoty wyzwalać, ani życia swojego przerabiać, polepszać. Tylko: jedz, pij, śpij i gnij! To wolno. Niedobrze ci z tym?

Powinno być dobrze, a jeżeli nie jest, to milcz! Jeżeli sarkniesz głośno lub palcem poruszysz — na Sybir! I tak było tyle lat. Boże mój! Tyle dziesiątków lat! Byli tacy, którzy w tym błocie poznajdowali sobie różne rozkosze i nimi się potruili, ale byli inni. Boże! Ty jeden wiesz, ile ci inni cierpieli! Jak im własne myśli paliły wnętrzności, jak z nich własne siły i ochoty, do niczego nie użyte, rzeżały zaduszane, ciągle konające i nigdy nie mogące skonać! Najlepsze lata życia przechodziły nam, jak ten dym szary, który po ziemi się czołga, a gdy spróbuje wznieść się w górę, zły wiatr zaraz o ziemię go ciśnie i po błotnistej powierzchni jej rozciągnie... Tak dłużej nie można było żyć. Ja wiem, że siły nasze małe, więc czerwonym być nie śmiałem. Ale i białym nie byłem także, nie! Za wiele cierpiał, za wiele przysłuchiwał się śmiertelnemu rżeniu duszy własnej i dusz bliskich, abym białym mógł być. A teraz co do tej motyki porywającej się przeciw słońcu, to myślę, że... Bóg jest z nami i że sprawa nasza to sprawa boska. Tedy... jaki tam koniec będzie, to będzie, powinność swoją... powinność swoją czynimy.

Bardzo wzruszony, z drżącymi wargami i pobladłym czołem na krzesło opadł, ciężko oddychał, a po krótkim milczeniu dodał już tylko:

— Poczta obywatelska powinność swoją spełni. Ręczę.

Wtedy to właśnie na milczącą twarz naczelnika oddziału zbrojnego spadła smuga radości i choć prędko zgasła, oczy jego, zza szkieł je osłaniających, tkwiły długo w szlachetnych, smutnych, przedwcześnie uwiedłych, zoranych rysach Orszaka.

Teraz rozpostarło się na stole kilka map różnej wielkości i wieniec głów pochylił się nad nimi, gdy w gwarze rozmowy brzmiały liczne nazwy dworów, wsi, miasteczek, uroczysk.

Żadna droga żelazna wówczas jeszcze stron tych nie przebiegała i było w nich trochę gościńców szerokich i mnóstwo dróg, drożyn, które w kierunki różne rozbiegały się po nieścignionej okiem równinie.

Były w tych stronach okolice żyzne, ludne, falujące bujnymi zbożami, gęsto strzelające ku niebu grupami topoli, które przyozdabiały dwory, i krzyżów, które stróżowały u wrót wiosek.

I były pustkowia niemal bezludne, kępami wilgotnych łąk wysadzone, wodami mokrzadeł świecące, przemawiające tylko głosami hulaszczych wichrów lub wędrownych ptaków, dla stóp obcego przybysza groźne śmiertelną grzeźłą trzęsawisk.

I były tam jeszcze lasy wielkie, głębokie, lasy odwieczne, przez wieki toporem niedotykane, wspaniałe przybytki natury samotnej i dzikiej, obłędne labirynty, z drogami wiadomymi tylko zwierzom je zamieszkującym i ludziom o barach potężnych, wzroku bystrym, strzałach celnych, którzy nad ich niepokalaną całością stróżowali.

I był tam na koniec wśród wielu wód innych, przez naturę po ziemi tej rozlanych, jeden szlak wody nieszeroki, przez ręce ludzkie na powierzchnię jej dobyty i nazwany Kanałem Królewskim.

Podniósł się wieniec głów znad map na stole rozłożonych i po ustach rozbiegły się słowa:

— Za Kanał Królewski! Do lasów horeckich.

Tam partia udać się i obóz założyć miała.

Przedtem jednak zgromadzić się musi. Z ziemi rozległej, z równiny dla oka bezgranicznej, z rozsianych po niej dworów, miasteczek, chat leśniczych, zagród drobnoszlacheckich, na jednym punkcie zgromadzić się musi. Na punkcie przedstawiającym ułatwień najwięcej, niebezpieczeństw najmniej.

Romuald Traugutt podniósł znad mapy twarz i wymówił:

— Dwór dziatkowicki.

A po krótkiej chwili, spojrzeniem po zebranych wiodąc, zapytał:

— Czy właściciel Działkowicz jest tutaj obecny?

— Tak; ja jestem właścicielem Działkowicz.

Traugutt mówić zaczął:

— Władzy dyktatorskiej nie posiadam. Mienia i wolności ludzi na niebezpieczeństwo wystawiać bez dobrowolnego zgodzenia się ich na to nie mam prawa. Miejscu, które będzie punktem zbornym partii i właścicielowi jego zagrożą niebezpieczeństwa poważne. Dwór spalony, majątek zabrany, właściciel jego uwięziony i surowo karany może zostać. Zgromadzenie się partii w Działkowiczach przedstawia dla niej korzyści znaczne, lecz które wówczas tylko osiągnięte będą, jeżeli właściciel miejsca tego, z pełną wiedzą o możliwych następstwach swego czynu, zgodzi się go dokonać!

Już w połowie przemówienia tego podniósł się z krzesła ów

wysmukły, zaledwie dojrzały blondyn z białą twarzą, wesołymi oczyma i drobnym wąsem złotym nad ustami, które dotąd zdawały się znać tylko śmiech, pieśń i pocałunki; ów myśliwiec namiętny, na szeroką okolicę ze znakomitej jazdy konnej i strzałów celnych słynny, ów z przeszłością bardzo jeszcze krótką, lecz w której nic nie zapowiadało polotu ku gwiazdom lub pociągu ku otchłaniom...

O! Od dawna zszedł już z tej ziemi w krainę nieznaną, która tam kędyś po drugiej stronie rzeki życia leży, zszedł z niej po długich cierpieniach wygnania, ubóstwa, czysty do końca, mężny do końca, gwieździe młodości swej i otchłani, która mu życie pożarła, błogosławiący do końca. Zszedł z tej ziemi samotny, bezdzietny... i wolno mi imię jego wymówić, a tobie je głośno powtórzyć. Może na nie jak na mogiłę spłynie promień jakiego rozrzewnionego oka, które samo kocha gwiazdy i otchłanie...

Podniósł się z krzesła Gustaw Radowicki i z oczyma jak dwa błękitne płomienie gorejącymi rzekł:

— Nie tylko zgadzam się, ale skoro to dla partii ma być korzystne, cieszę się, że właśnie te moje kochane Dziatkowicze korzyści tych dostarczyć mogą. I w zamian o jedno tylko pana naczelnika proszę, aby mi było pozwolone...

Zmieszał się jakoś, spuścił oczy, może przed tkwiącym w nim wzrokiem naczelnika. Jednak po chwili dokończył:

— Aby mi było pozwolone należeć w partii do oddziału jazdy...

Teraz znowu zaśmiały mu się oczy i usta.

— Bo że będą służył w partii, to już dawno postanowione i wiadome. Jakże! Setnikiem przecież jestem. Stu ludzi chętnych do pójścia zebrałem, a sam miałbym nie pójść! To przecież przez głowę nigdy mi przejść nie mogło. Ale proszę, aby mi wolno było służyć w jeździe, bo ja na koniu to do wszystkiego, a pieszo to jakoś... tak jakoś... Ale proszę tylko — i jak pan naczelnik rozkaże, tak się stanie. Tylko to jeszcze powiedzieć muszę, że mam konia El Raszyda, takiego, co to w sam raz... do takiej służby w sam raz...

Zmieszał się znowu, umilkł.

Naczelnik zaś z twarzą wciąż ku niemu podniesioną tkwił w nim wzrokiem i na usta — pierwszy raz, odkąd tu przybył — wykwitać mu poczynał uśmiech. Wykwitał, bo dziwnie świeży był, szczery, perłowy od rzędu zębów białych, które w nim błysnęły. Przy tym łuna radości twarz mu opłynęła i z czoła spędziła posępną zmarszczkę. Z wesołym prawie gestem zawołał:

— Ale owszem, zgadzam się, aby pan służył w jeździe i nawet...

Tu głos jego nabrał tonów zupełnie wesołych.

— Ponieważ pan ma konia El Raszyda, co to w sam raz, mianuję pana swoim adiutantem.

Aż po brzegi złotych włosów z radości zarumieniony młodzieniec przed naczelnikiem złożył głęboki ukłon i siadając, ku wysokiemu brunetowi, którego czasem Scypionem nazywano, z porozumiewawczym skinieniem głowy rzucił

zagadkowe słowa:

— A co, Feliksie! Widzisz! I ja z tobą...

Znać o czymś wątpili wspólnie i znać, że tamten wybierał się także do jazdy.

Ale teraz wstał z krzesła swego naczelnik:

— Skończone są na dzisiaj narady nasze. Mówcą nie jestem. Mniemałem zawsze, że słowem najwymowniejszym z tych, którymi człowiek do świata przemawiać może, jest czyn. Jednak teraz, gdy Bóg pozwolił, że przystępuję do czynu, o którym zawsze marzyło serce moje, z serca wrywają mi się słowa, tylko co przez pana Orszaka powiedziane: „Sprawa nasza to sprawa boska”. To jest również prawdą, co pan Orszak powiedział, że niewola zabija dusze, a ja z tej prawdy wyprowadzam wnioski, że nikomu nie wolno zabijać dusz ludzkich i odwrotnie: duszom ludzkim nie wolno pozwalać, aby ktokolwiek je zabijał. Oto jest prawo nasze do walki, którą przedsięwzięmy i oto dlaczego sprawa nasza jest sprawą boską. Nie na podboje i nie po łupy idziemy, ale po odbiór wydzieranego nam dobra boskiego. Dobrem boskim — cnota ludzka, cnoty nie ma bez wolności. Jeżeli wygramy, wygraną naszą będzie zbawienie duszy narodu, jego czci i jego doczesnego szczęścia; jeżeli przegramy, rzeką krwi przez nas przelanej inni zapłyną do wolności. Ale jakkolwiek będzie nasz koniec, powinność naszą czynimy. Z nadzieją czy przeciw nadziei, ale z prawdą i z Bogiem! My z prawdą i ze sprawiedliwością, więc z Bogiem. W tym nasza moc. My z Bogiem.

Nie patrzył na nikogo, spojrzeniem błędził w górze i choć umilkł, wargi mu wewnętrznymi słowami jeszcze drgały, gdy twarz i postawę oblewała jakaś od ziemi oderwana, ze słońc mistycznych wyblęśta ekstaza. W takich ekstazach wbrew ziemskim rachubom rodzą się niezłomni książęta czynu i z pieśnią triumfu w duchu, wbrew męczarniom ciała, umierają męczennicy.

Wieniec twarzy od wzruszeń i znużenia bladych otaczał długi stół i w sali, którą zaległo milczenie, zegar począł wybijać godzinę. Z białego oblicza w czarnej obwódce, spod sufitu patrzącego wypłynęły cztery z kolei dźwięki metaliczne, głębokie.

Czy oczy ludzkie długim czuwaniem zmęczone były, czy lampy przygaszały, ale rześiste ich światło zdawało się teraz rozpraszać w kurzawę mnóstwa świecących atomów, które przed oczyma migotały, drgały, mając linie otaczających twarzy i przedmiotów. Płomienie dopalających się świec stały w wysokich kandelabrach wielkie, jaskrawe, z nitkami dymu u chwiejących się wierzchołków. Powietrze nasycone oddechami ludzkimi, może częstszymi, niż to bywa w momentach powszednich, stało się duszne i gorące.

Ktoś zbliżył się do jednego z okien, na oścież je otworzył i za tym otwartym oknem ukazał się dziw, cud: dziwnie cudny i piękny poranek wiosenny.

Niepokalany błękit nieba, jasna zieloność ogrodu osypana brylantami rosy. Białe gwiazdy narcyzów nad trawami, mnóstwo

fiołków w trawach, rozłożyste jabłonie w różowym i grusze w białym rozkwiciu. Potoki woni i fale powietrza napojonego rosą. I wszystko od nieba do ziemi, od szczytów drzew wysokich do drobnych traw i kropel rosy, w wielkim, pełnym, złotym świetle słońca wyraźne, wypukłe, wyodrębnione, jasne, pozłoczone.

Od doznanych wzruszeń drżące i wzajem wspierające się o siebie, my, dwie kobiety, prawie dzieci, szeroko otwartymi oczyma patrzyłyśmy to na ów rajski obraz za oknem, to na salę napelnioną światłem żółtym, sproszkowanym, migocącym, dymnym i twarzami ludzkimi o czołach zbrudzonych i zmęczonych oczach...

Poemat i dramat.

Raj i czyściec.

Pogoda i burza.

II

Kto wiosny owej przesypiał całe noce? Kto znał wczesne i spokojne sny?

O późnej, nocnej godzinie po grobli, która wśród dwu rzędów wierzb wznosiła się nad dwoma rozłogami łąk, pędził na koniu człowiek szarą burką owinięty. Całą szybkością bystrego konia pędził, u końca grobli obszerny dwór okrążył, na dziedziniec jego jak wichur wpadł i konia przed gankiem domu osadził.

Na ganku szarzało w zmroku kilka postaci męskich i bieląło kilka sukien kobiecych. Głos jakiś zapytał:

— Kto?

Jeździec, z konia zaskakując, odpowiedział:

— Posłaniec.

Wszedł na ganek i cicho mówić zaczął:

— Partia z Działkowicz ku lasom horeckim idzie i na dwie godziny we dworze, z którego posłaniec przybywa, stanęła.

Naczelnik partii wzywa najbliższych zamieszkujących członków organizacji, aby dla pomówienia z nim o rzeczach ważnych przybyli. Jak najprędzej, gdyż ani minuty dłużej nad dwie godziny partia się tam nie zatrzyma. Kilku takich jak on posłańców rozleciało się w strony różne, jemu tu pędzić co koń wyskoczy rozkazano. I tak samo powracać z uwiadomieniem, czy wezwani przybędą. Jest jeszcze kartka do pani...

Nie skończył mówić, gdy już para ludzi, mężczyzna i kobieta,

ku stajniom przez dziedziniec biegła. W moim ręku szeleściła kartka z pięciu słowami:

„Przyjeżdżaj także. Jesteś potrzebna. Stefania”.

Służbę stajenną budzić? Strata czasu. Do powozu konie zakładać? Kto by tam teraz myślał o powozach!

Kilka minut upłynęło i już przed stajnią stał koń do linijki zaprzężony.

Nie wiesz, co to linijka? Taka gładka, zwyczajna deska, pomiędzy czterema kołami położona i sukнем obita. Nic więcej. Wąskie to, niezmiernie lekkie, dla gospodarzy do jeżdżenia po drożynach i miedzach polnych... Kobiety rzadko tym jeździły, jednak czasem, w takiej postawie, jak jeżdżą na koniu.

Towarzysz mój ujął lejce, ja za nim już siedziałam.

Trzy wiorsty drogi tylko. Linijka nasza jak strzała pruć powietrze, turkocąc po twardej grobli, prawie doganiając pędzącego przed nią na koniu posłańca. Noc była gwiazdzista, trochę wietrzna. Wierzby lekko chwiały się i szemrały po obu stronach drogi.

Wpadliśmy na wielki dziedziniec latarniami oświetlony, mrowiskiem ludzkim pokryty.

Latarnie na drzewach, na słupach u ścian budynków i w czerwonym ich świetle mrowisko ludzkie poruszające się i gwarne.

Czamary, bluzy, krótkie sukmany, szerokie pasy, skórzane, wysokie obuwia, czapki jak łąn kwiatów, amarantowe, szafirowe, białe. Na plecach strzelby, u pasów pistolety. Duży

pęk kos pionowo w długie trzony oprawionych stał oparty o ścianę domu i w świetle latarni nad nim wiszącej błyszczał jak stalowe słońce. Ruch, gwar, szum ludzkich kroków i głosów. Nawoływanie, wydzwaniające imiona i nazwiska, rozmaite rozmowy, tu i ówdzie wybuchy śmiechu. W mrocznych głębiach dziedzińca, pod gospodarskimi budynkami konie rżą i parskają, rysują się mętne sylwetki wozów i ludzi, w pobliżu domu, na przestrzeni najlepiej oświetlonej, pobrzękują nad długimi stołami naczyńa gliniane i szklane.

Mnóstwo postaci i twarzy; ogromna różnorodność ich zabarwienia i wyrazu. Są tu synowie domów zamożnych, dzieci dostatku i elegancji, z niestartym piętnem ich w poruszeniach i odzieży. Są młodzi uczeni, dzieci myśli i wiedzy, z niepozbytym ich światłem na czołach i oczach. Są wszyscy niemal strażnicy lasów o barach szerokich, wzrokach nieco ponurych, lecz bystrych, do przebijania gęstwiny i mroków nawykłych. Jest cała młodzież zagród drobnoszlacheckich, rażna, śmiała, o uśmiechach łatwych i zamaszystych ruchach. I jest jeszcze nieco postaci wątych, najmniej wyraźnych, zdających się być cieniami, które idą za tamtymi. Tych, z miasteczek, gdzieniegdzie ze wsi chłopskich, z jakichś może dróg losu obłądnych i nieszczęśliwych, przywiodły tu hasła, które sennymi duszami wstrząsnęły, nadzieje przyszłości lepszej, które czarem spłynęły na złą teraźniejszość.

Kiedy linijka nasza przez tłum ten z wolna się przesuwała, z ganku domu zbiegła i naprzeciw niej biegła wiotka, ładna kobieta

w białej sukni, za ręce mnie z linijki zeskakującą pochwyciła, mówiąc śpiesznie:

— Przyjechałaś? To dobrze! Dają zlecenie mnie i tobie, przez nas innym. Chodź prędko!

Weszłyśmy razem do wnętrza domu, które w porównaniu z dziedzińcem wydawało się dziwnie puste i ciche.

Sala jadalna oświetlona była, ale pusta. Nikogo w niej nie było. Tylko białe oblicze zegara patrzyło na nią z wierzchołka czarnej kolumny i u otwartych okien wiatr poruszał firankami.

W przyległym salonie kilku ludzi, przy jednym ze stołów siedząc, półgłosem rozmawiało. Zaraz w progu rzuciły mi się w oczy kruczoczarne włosy Traugutta. Gdyśmy się powoli i trochę nieśmiało zbliżyły, on właśnie mówił:

— Sam nie chciałbym tego, ale jakże inaczej szpiegostwo, donosicielstwo ukrócić? Prawa wojskowe dla postępków takich zawsze i wszędzie mają karę śmierci. Jednak czy zastosowanie jej w tym przypadku nie pociągnie skądinąd następstw dla sprawy szkodliwych?

Gospodarz domu, z brwią zmarszczoną, odpowiedział:

— W okolicznościach, wśród jakich się znajdujemy, objaw energii i rzucenie postrachu na żywioły nam nieprzyjazne wydają mi się konieczne...

— A ja — przerwał Orszak — byłbym za okazaniem wspaniałomyślności, która może ująć nam serca.

— Ideologia! — sarknął gospodarz domu. — Odwykliśmy od energicznych czynów i jak „mdłe panienki” gotowiśmy dostawać

spazmów na widok kropli krwi.

— Zdaniem moim — ozwał się ktoś inny — sam pan naczelnik o losie człowieka tego rozstrzygać powinien. Tylko. Do nas to nie należy.

— Byłoby to piętowym umywaniem rąk? — z najsarkastyczniejszym ze swych uśmiechów rzucił gospodarz domu i mówił dalej:

— Jesteśmy naturalnymi doradcami naczelnika i co do mnie, w charakterze doradcy, głosuję za okazaniem energii, za rzuceniem postrachu, czyli — za śmiercią szpiega i donosiciela.

Byli tak bardzo rozmową zajęci, że zaledwie teraz nas spostrzegli.

Po krótkich powitaniach gospodarz domu bez żadnej zwłoki przedstawił to, czego organizacja od nas żądała. Były to zadania mające związek z potrzebami ekonomicznymi partii, właściwie z pewnymi ich szczegółami, które teraz dopiero, po jej zgromadzeniu się, na jaw wystąpić mogły i wystąpiły. Trzeba było usunąć pewne braki, zadośćuczynić większym niż rachuby poprzednie wskazywały wymaganiom, zapobiec mogącemu zdarzyć się nieprzygotowaniu i niedostatkowi. Rzeczy tych drobnych i zarazem dość trudnych kobiety dokonać mogły z większą niż mężczyźni łatwością, z mniejszym niebezpieczeństwem.

Szło nie o jedną ani o dwie kobiety, ale o cały legionik kobiecy, roztropnie i trafnie dobrany. Na wzgląd ostatni kilka głosów nacisk położyło. Omyłki w wyborze mogły pociągnąć z

sobą następstwa nieobliczone.

Przymiotami legioniku, mającego krzątać się po okolicy rozległej i nad którą niezawodnie po wystąpieniu partii nieprzyjaciel straż bacznią rozciągnie, musiały być: zwinność ruchów, ich spokój i ich niejako naturalność. Druga cecha niezbędna: umiejętność ujmowania dla roboty swojej serc i chęci ludzkich. A trzecie: umiejętność milczenia. I czwarta jeszcze: odwaga.

— I przytomności umysłu w żadnym wypadku nie tracić! — z przyjacielskim ku nam uśmiechem dodał Orszak.

Słuchałyśmy szczęśliwe, przejęte, skupione; w piersiach grały nam bohaterskie pieśni, a po głowach już przelatywały myśli: kto, gdzie, jakim sposobem? Ku mówiącym pochylone, w słowa ich zasłuchane, z ogniami na policzkach, bez żadnej o tym wiedzy swojej mocno ścisnęłyśmy się za ręce.

Wtem usłyszałyśmy głos Traugutta. Spojrzenie jego zza szkieł okularów spoczywało na nas uważne, przenikliwe, lecz nie surowe; owszem, wewnętrznym uśmiechem rozjaśnione. Do otaczających rzekł:

— Paniom tym w zupełności zaufać można.

A potem do nas:

— Z ufnością powierzamy wam te na pozór drobne, lecz w rzeczywistości ważne interesy polskiego żołnierza.

I tak jak wówczas, po młodzieńczym i entuzjazmu pełnym oświadczeniu właściciela Dziatkowicz, usta rozkwitły mu świeżym, szczerym i perłowym uśmiechem. Snadź uśmiechy na

tę twarz surową najłatwiej wywołał widok młodości, która na kształt świecy przed ołtarzem paliła się przed obliczem ideału płomiennie i prosto.

Jeszcze kilka zapytań, odpowiedzi, ostrzeżeń, uwag i uczułyśmy, żeśmy tu już niepotrzebne.

Pociągała nas ku sobie wielka sala stołowa. Nie była już pusta. Kilkunastu ludzi weszło tu z rojnego dziedzińca i nietrudno było odgadnąć, że znajdowali się pod wpływem wzruszenia, może nawet wzburzenia, które na wodzy trzymane, objawiało się jednak w szeptach, gestach, wyrazach twarzy.

Byli tam bliscy znajomi nasi, towarzysze zabaw i zajęć, krewni. Uderzyła nas zmiana, która w nich zaszła. Wydawali się wzrostem wyżsi i wyrazem więcej męscy niż przedtem. Postawy i poruszenia ich nabrały energii i prostoty, oczy stałego i silnego blasku. Strzelb przy sobie nie mieli; tylko u pasów pobłyskiwały pochwy kryjące w sobie różną krótką broń.

Był tam ze swym rzymskim profilem twarzy i wzrostem wszystkie inne przenoszącym, Scypionem czasem zwany, Feliks Jagmin, był Radowicki szafirową konfederatkę z fantazją u boku trzymający, był demokratą ów zacięty, świeży eks-student Florenty, byli Artur i Henryk Ronieccy, synowie ojca, który za białego ogłoszony, przez to zniechęcony, teraz dwóch synów miał w partii; mały Tarłowski, dziwny chłopak, biały i różowy jak panienka, botanista uczony, a z dobrej woli nauczyciel dzieci chłopskich w pobliskim miasteczku; dwaj młodzi medycy, którzy w partii funkcję lekarzy obozowych pełnić mieli; i inni

jeszcze, dobrze znani, bliscy...

Rozmawiali z sobą głosami przytłumionymi. Można było dosłyszeć słowa:

— To niepodobna! To stać się nie może.

— Pójdźmy! Przedstawmy! Powiedzmy zdania nasze!

— Od tego rozpoczynać? Nigdy! Byłoby to dla nas wstydem...

— Fałszywym krokiem względem ludu...

— Kimkolwiek jest, człowiek ten pochodzi z tutejszego ludu, na tej ziemi się urodził.

I wiele innych zdań oderwanych, z których niepodobna było wyrozumieć, o co chodzi, ale które objawiały uczucia zatroskania, obrzydzenia, niepokoju, na wodzy trzymane, powściągane, jednak wybiegające na zewnątrz w gestach ramion, w marszczeniach brwi, w błyskach oczu.

Zamieniłyśmy z nimi przyjacielskie uściśnienia dłoni i zapytałyśmy, o co idzie, co stało się lub ma się stać. Śmiało mogłyśmy zapytywać. Pomiedzy nimi i nami, wobec idei i działań w imię jej przedsięwziętych, panowała równość zupełna.

Florenty cały w ogniu, z oczyma zmartwionymi, jedną z nas za rękę pochwycił.

— Chodźcie! Pokażę. I opowiem.

Szłyśmy z nim na dziedziniec. Poszli za nami Artur Roniecki i Marian Tarłowski.

Prędko przez ten dziedziniec przebrnąć było teraz niepodobna. Wszędzie gromadki i tłumiki ludzkie, ruszające się, rozmawiające.

Mnóstwo po drodze przywitań, krótkich rozmów, prośb o dobre życzenie na drogę, o dobrą pamięć dla odchodzących w drogę. W drogę bliską, a jednak daleką i dla wielu bezpowrotną. Nieraz oczy zapiekły nas od łez, kilka razy spostrzegłyśmy w innych oczach szklistą ich powłokę. Ale były to sekundy, po których wracała rażność gwarna i wesoła, w uczuciach wezbranych, w wyobraźni rozkołysanej źródło swe mająca.

Raz, gdyśmy tak szły, witając i razem żegnając, ściskając ręce ludzi, zamieniając z nimi krótkie słowa, po dziedzińcu rozległ się huk przeraźliwy. Jakby coś ogromnego upadło i rozbiło się na mnóstwo szczątków, jakby mnóstwo metalowych ostrzy wzajem o siebie uderzyło. Były to kosy, które wskutek nie wiedzieć jakiego wypadku ześliznęły się po ścianie, o którą były oparte, i upadając sypnęły w powietrze garść dźwięków, tak samo jak ich żelźca ostrych. Podniesiono je natychmiast i umieszczono na miejscu uprzednim, gdzie znowu w świetle latarni rozbłysły jak stalowe słońca.

Ale przez wypadek ten, czy może przez wrażenie na niektórych sprawione, wywołany, rozległ się w powietrzu zbiorowy wybuch śmiechu.

Jednak im więcej wraz z towarzyszami swymi oddalałyśmy się od domu, tym więcej tłum ludzki rzedniał i tym wyraźniej w gwiaździstym zmroku występowały przed nami ściany budynków gospodarskich i otaczające je rozłożyste drzewa. Ze sfery światła i hałasu weszłyśmy w sferę cienia i względnej ciszy. Na znacznej przestrzeni paliło się tu tylko kilka latarni,

w których świetle dostrzec było można sylwetki osiodłanych koni i w milczeniu dokoła nich poruszających się niewielu ludzi. Gwiazdy za to wyraźniej niż tam iskrzyły się na niebie, wiatr szeleścił w czarnych drzewach i od traw podnosiła się rzeźwiąca wilgoć rosy.

Prędko obok nas idąc Florenty opowiadał:

— Zaledwie wyszliśmy z Dziatkowicz, drogę nam zabiegł chłopak wiejski, może trzynastoletni i cały drżący, przełknięty, do Jagmina, który z połową jazdy na czele partii jechał, żałosnym głosem wołać zaczął:

— Stójcie, panoczku, stójcie! Zatrzymajcie się, jeżeli Boga kochacie!

Jagmin konia powstrzymał, nam to samo uczynić rozkazał i z siodła pochylił się ku chłopcu, który mu jakąś zapisaną kartkę papieru podawał. Rozwinął kartkę, przeczytał i nam pokazał. Było to ni mniej, ni więcej, tylko oznajmienie posyłane do wojska, że wyszliśmy z Dziatkowicz, ilu nas jest, w jakim udajemy się kierunku. Wszystko wysledzone, wyszpiegowane i donoszone. My do chłopca:

— Kto jesteś?

— Sługa dziakowy.

— Gdzie mieszkasz?

— U dziaka.

— Dlaczego nie u rodziców?

— Nie mam rodziców, pomarli.

— Kto ci tę kartkę dał?

— Dziak.

Kazał dziecku co tchu z tą kartką do miasteczka biec i oficerom ją oddać. Widzicie, gałgan jaki! Nie chłopak, ale dziak! Chłopaka Jagmin na konia podniósł, przed sobą na siodle posadził i zapytuje:

— Czy wiesz, co w tej kartce napisane?

— Wiem — odpowiada.

Słyszał, jak dziak żonie swojej czytał.

— Dlaczegoś nam ją oddał?

Tu dzieciak rozplakał się, zmęczyły go już pytania, czy czegoś zląkł się, Jagmin po włosach go pogładził, w głowę pocałował i znowu:

— Dlaczegoś nam ją oddał? Nie bój się niczego. Dobrześ uczynił i dziękujemy ci za to, ale dlaczego?

Spuścił kudłatą łbinę i tak cicho, że ledwieśmy dosłyszeć mogli:

— Jak zobaczył was, to pożałował... Póki nie widział, to leciał tam, gdzie dziak kazał, a jak zobaczył, to pożałował, bo... bo... dziak przed żoną swoją mówił, że oni was wszystkich jak kaczki wystrzelają...

— Miał po trochu rację dziak! W czystym polu i niespodziewanie. Ale co o tym dziecku chłopskim myślicie? Jakie serce złote? Jaka natura tkliwa!?

— Jeżeli nie kłamał! — flegmatycznie odezwał się idący za nami Artur Roniecki.

Florenty oburzył się.

— Że chłopskie dziecko, to już zaraz kłamać miało! Wstydyz się, Arturze!

Tamten z jednostajną wciąż flegmą odpowiedział:

— Nie dlatego, że chłopskie, ale dlatego, że ludzkie dziecko, a temu, co mówią dzieci ludzkie w ogóle, niedowierzać trzeba...

— Także filozofia! A sam całowałeś chłopca, aż mlaskało...

— Sentyment we mnie obudził...

— W nas wszystkich.

Odebrał go od Jagmina Żemirski, od Żemirskiego tu obecny filozof, od filozofa ja go w obroty wziąłem, ode mnie ktoś inny. Dziw, żeśmy go na śmierć nie zacałowali. Ośmielił się, prawie rozswawolił, śmiać się zaczął i różnych części odzieży naszej dotykać:

— Jakie u was czapki ładne! A jakie pasy! A strzelby, a jej! Weźcie mnie z sobą... strzelbę dajcie...

Rozkosz nie malec! Gdyby był choć trochę starszy! Ale bęben taki! Za wcześnie go jeszcze na bale z sobą brać!

— Ale cóż z kartką?

— Jagmin zawrócił konia i z nią do naczelnika, a naczelnik jak z bicza trzasł, natychmiast: „ten, ten, ten, do dziaka niech jadą! Ręce i nogi mu związać, oczy zawiązać, tu przywieźć! Marsz! Marsz!”. U niego wszystko tak: w trybie rozkazującym, w tempie szybkim. Dziak, bestia, bliźiuteńko mieszkał, wycieczka kwadransa nie trwała. Wrzeszczał, kłął, pluł, drapał, aż pistolety musiały z pochw wyleźć. To pomogło. No i jest tutaj z nami.

Tu głos mu nieco ścichł, spoważniał:

— Powieszony ma być!

Zadrzałyśmy obie i usłyszałyśmy za sobą szczególny dźwięk, wychodzący z ust Ronieckiego, jakieś przeciągłe: pfuuu! Wyglądało to na powstrzymaną chęć splunięcia.

A obok Ronieckiego idący mały Marian Tarłowski szepnął:

— Zły początek! Bądź co bądź... człowiek bezbronny!

— Cicho, nie mów nic! Może posłyszec!

Stanęliśmy jak do ziemi przykuci, w milczeniu.

O kilka kroków przed nami stał pod rozłożystym drzewem prosty wóz chłopski w jednego konia zaprzężony i w pobliżu woza szarzały o drzewo oparte dwie rosłe postacie stróżujących nad nim ze strzelbami na plecach powstańców.

Na wozie wyraźnie w gwiaździstym zmroku widać było cienkiego i wysokiego człowieka, w długim, aż prawie do stóp ubraniu, z rękoma u piersi owiązanymi i ze szmatą białego płótna, która zasłaniała mu wraz z oczyma znaczną część twarzy. Głowę miał okrytą tylko gęstymi, siwiejącymi włosami, siwiejąca również broda opadała mu na związane sznurami ręce. Sploty sznurów krępujących nogi ukazywały się spod skraju długiej odzieży.

Jeżeli kiedy człowiek ten — jak opowiadał Florenty — wrzeszczał, pluł, kłął, drapał, teraz mu to już przeszło. Teraz już wiedział, że znajduje się na samym dnie niedoli, że nic go nie uratuje, że lada chwila śmiercią ohydną zginąć musi. Śmierć tę widział może pod przytwierdzonymi do źrenic powiekami, wiszącą i kołyszącą się na tych samych sznurach, których twarde

obręcze na nogach i rękach swych uczuwał. Może tułały się mu po głowie przypomnienia różne i z serca wyciskały łzy, może to serce piekł ogień nienawiści i po członkach rozlewały się gryzące strumienie żółci; najpewniej śmiertelny strach krople krwi ścinał mu w sople lodów i włókna nerwów stęzał w nieme od przerażenia struny.

Cokolwiek czuł i myślał, był w tej chwili upostaciowaniem tej męki, która nie ma ani głosu, ani słów, ani jęków i tylko jak wiatr niewidzialny ciałem człowieka kołysze. Na wozie siedząc kołysał się nieustannie. Z siwiejącymi włosami na głowie i u piersi, z białą chustą na twarzy to w tył, to naprzód odginał swą cienką i wysoką postać, miarowo, nieustannie, w milczeniu kamiennym. Widok zaś tego miarowego, powolnego, wiecznego kołysania się daleko więcej, niżby to zdziałać mogły krzyki i przekleństwa, patrzącym krew w żyłach zatrzymywał, w pamięci rył się na zawsze.

Nie wszystkim jednak patrzącym. Jeden z tych, którzy ze strzelbami na plecach pod drzewami stali, odezwał się głosem od śmiechu nabrzmiałym:

— Pokłony wybija... jak przed ikoną!

Zaśmieli się obaj. Leśni strażnicy to byli, chwaty dzielne i chłopcy uczciwe, lecz z nietkniętą jeszcze w duszach pierwotną siłą nienawiści, zacięte i mściwe, z tą siłą, która podobno w wojnach zapewnia zwycięstwo.

Roniecki z cicha ich upomniał:

— Nie trzeba śmiać się z nikogo, kto popadł w nieszczęście.

— Oho! A w jakie nieszczęście szelma ten chciał nas wprowadzić!

Mówiąc to nie śmiali się już, raczej warczeli. Oko za oko, ząb za ząb. Zemsta straszliwa, lecz kto na wojnę idzie, musi ją z sobą brać, a my i ci najbliżsi towarzysze nasi szliśmy na wojnę bez niej... Już nam było niepodobna dłużej na mękę człowieka tego patrzeć.

Wracaliśmy do domu śpiesznie, w milczeniu. Raz tylko towarzyszka moja przemówiła:

— A cóż stało się z chłopcem? Jeżeli tam powróci, prześladować go będą.

— Ale gdzie tam! Jagmin tu go na koniu swoim przywiózł i stąd zaraz do rodziców odesłał, o opiekę nad nim prosząc. Będzie mu tam jak w niebie... syn prosił...

W sali jadalnej, zaraz u drzwi, towarzyszków naszych wymówki i zapytania spotkały:

— Gdzieżeście byli? Czekamy na was! Do naczelnika idziemy, ale bez ciebie, Arturze, nie można. Ty przemówisz...

— Dlaczego ja?

— Boś najspokojniejszy, a tu trzeba...

— Dobrze w garści się trzymać. Macie rację. Porafię.

— Idźmy więc. Historia rzeczywiście przykra.

— Tarłowski słusznie mówi: zły początek!

— Pętlicą wisielczą ręce brudzić!

— Bezbronnego zwyciężać...

— To jest syn chłopski!

- Jednej z chłopami wiary!
- Obruszymy przeciwko sobie lud!
- Chodźmy! Czas ucieka!
- Chodźmy!

Do salonu we czterech weszli i przed Trauguttem, który wśród kilku członków organizacji siedział, w postawach pełnych uszanowania stanęli. Postawy ich były uszanowania pełne, ale w oczach, na czołach, na wargach coś takiego im drgało, paliło się, migotało, że wprzód, nim słowo z ust któregośkolwiek wyjść mogło, Romuald Traugutt gestem energicznym ramię ku nim wyciągnął i głowę podnosząc rzekł:

— Niech panowie nie mówią. Proszę nie mówić nic. Wiem, o co idzie.

Było to bystre przeniknięcie tych głów zapalonych i tych niezaprawionych do posłuszeństwa woli; było to przytomne zapobiegnięcie słowu jakiemuś, które mogło z ust się zerwać, niosąc z sobą konieczność kary i niepodobnego do naprawienia nieszczęścia.

Przez chwilę milczał, prosto w twarze ich patrząc, aż z tym samym spokojem w głosie, którego miał pełne oczy i postawę, mówić zaczął:

— Idzie o człowieka, który dopuścił się względem nas szpiegostwa i donosicielstwa. Prawo wojskowe ma dla postępów takich karę śmierci. Tym razem jednak, z przyczyn mnie wiadomych, ułaskawiam tego człowieka. Niech odwieziony będzie o wiorst kilka od domu tego i tam wśród pola

pozostawiony. Zasłony z oczu ani więzów z rąk i nóg nie zdejmować. Panowie Jagmin, Radowicki i Roniecki wóz z jeńcem eskortować będą i natychmiast po spełnieniu rozkazu mego tu powrócą.

Na zegarek spojrzął:

— Partia wychodzi stąd za pół godziny.

Trzej wymienieni przez naczelnika młodzieńcy złożyli głębokie ukłony i śpiesznie dom opuścili. Czwarty, Florenty, obok nas przechodząc do uszu nam szeptem rzucił:

— Co za głowa! Z oczu nam awanturę wyczytał i sam niby tak postanowił.

Czy niby, czy istotnie sam tak postanowił, odgadnąć trudno było. Długo siedział zamyślony i milczący. Gospodarz domu pierwszy przerwał milczenie. Czuł się widocznie niezadowolony, po ustach mu szpilki ironii biegały.

— Będiesz miał, panie naczelniku, robotę długą i trudną.

— Z czym?

— Z poskramianiem fantazji naszych, sentymentów naszych, warcholstwa naszego. Śmiem zapytać: czy dobrze się stało, że ustąpiłeś?

Podniósł głowę Traugutt i twardo odpowiedział:

— Nie ustąpiłem; ostateczną decyzję tylko powziąłem.

Potem łagodniej już nieco dodał:

— Człowiek ten, do godności urzędu cerkiewnego podniesiony, jest przecież chłopem. Młodzieńcy ci mieli słuszność. Nie od mordowania chłopów zaczynać nam należy.

Nie ustąpiłem przed nimi, ale zdanie ich po rozwadze podzieliłem.

Wstał z krzesła. Odbicia światła w szklach, które na oczach miał, iskrzysto od ruchu głowy zapłonęły.

— Ilekroć zgodnie z przekonaniem swoim będę mógł zapobiec wybuchowi warcholstwa, zapobiegnę mu; ilekroć przekonaniu memu w drodze on stanie, poskromię go.

Przy ostatnich słowach ręka jego ruchem pomimowolnym spadła na zawieszony u pasa pistolety.

Trzej jeźdźcy pod ganek domu podjechali, z koni zaskoczyli.

— Siedzi sobie niedaleko drogi na zagonie — flegmatycznie opowiadał Roniecki — i czeka, aż go kto przechodzący albo przejeżdżający z pęt wyzwoli. Zapewne stanie się to niebawem, a im później się stanie, tym dla nas lepiej będzie. I jedno tylko mam do zarzucenia ekspedycji, to, że jakimś sposobem opaska kupidynowa z oczu mu się zsunęła i że nas ujrzał, a ujrzawszy poznał.

— Cóż z tego wyniknąć może?

— Ano to tylko, że w razie... okoliczności nieprzyjaznych my na jego miejscu, jak leśnik Grzegorz się wyraża, zadyndamy!

Poszli naczelnikowi oznajmić, że rozkaz jego spełniono.

Latarnie na dziedzińcu i gwiazdy na niebie przygasły, wczesny świt wiosenny rozbłękitniać zaczynał powietrze, gdy Traugutt w otoczeniu cywilnych towarzyszy swych na ganek domu wyszedł. Zaraz też po dziedzińcu rozległ się donośny, metaliczny głos jego:

— W szeregi formuj się! Jazda na koń!

Śpiesznie Radowicki do wodza się zbliżył i z uszanowaniem mówił:

— Żołnierze zapytują, czy wolno im dzień i pochód rozpocząć odśpiewaniem hymnu.

Wódz głową znak potwierdzający uczynił, adiutant zaś z brzegu ganku na cały dziedziniec krzyknął:

— Śpiewanie pozwolone!

Na dziedzińcu odbywały się szybkie, milczące ruchy. Dziesiątnicy i setnicy piechotę w szeregi ustawiali, jazda wsiadała na przyproawdzone od stajen konie.

Traugutt zawołał:

— Jagmin z połową jazdy naprzód!

Przebiegła przed gankiem garść jeźdźców na pięknych koniach, z szabłami u boków, konfederatkami nas żegnając i u początku drogi, która z dziedzińca wychodziła w pole, jak wryta przed szeregami pieszymi stanęła. Druga, zupełnie do tamtej podobna, stała za dwoma nieco wyosobnionymi i na siodłach nieruchomymi jeźdźcami. Byli nimi wódz partii i jego młody adiutant.

Chwila milczenia, kamiennej ciszy porannej w powietrzu coraz bielszym od szybko powstającego dnia, aż na znak dany przez wodza stanął w strzemionach młody adiutant i w ciche, białe powietrze rzucił okrzyk dźwięcznego głosu:

— Naprzód! Marsz!

Wtedy jak fala, która szumnie, lecz poważnie płynie, zaczęli

odjeżdżać, odchodzić. Stąpania ludzkie i końskie szemrały głosem przyciszonego wiatru i nad szumem tym wybuchnęła pieśń kilkuset piersi męskich.

Z pieśnią tą szli i jechali powoli, równo, w porządku niezmaconym, pomiędzy dwoma rzędami strzelistych topoli, naprzeciw jutrzence, która za topolami szlakiem różanym daleki skłon nieba powlekła.

W błyskach słonecznych, które na szlaku jutrenki drgać poczęły, płynęła nuta i brzmiały coraz dalsze słowa pieśni.

Ganek domu pełen ludzi wezbrał silnym biciem serc i szeptem błagalnym:

— Boże, błogosław!

Byli tam tacy, którzy ramiona ze splecionymi dłońmi ku oddalającym się wyciągali, i tacy, którzy oczy zasłaniali dłońmi. Orszak w niebo patrzył. Z czoła gospodarza domu wyniosłość zniknęła bez śladu i przewlekły się po nim chmury ciężkich myśli, gdy usta, z których ironia bez śladu zniknęła, szeptały:

— Boże, zmiłuj się!

...Nie pobłogosławiłeś, Boże! Nie zlitowałeś się, o, Boże! Dlaczego? Czy tam, w światłości niebieskiej, dowiedzą się o tym ci, którzy tu żyli i pomarli w piekielnej ciemności?

III

Kto wiosny owej spostrzegął kwitnące róże? Kto słuchał śpiewów słowiczych?

Dla kwiatów i dla pieśni, dla wiosennych marzeń, zachwyków, spoczynków nie było czasu, woli, myśli, pamięci. Lasy płonęły.

Z horeckich lasów wylatywały częstsze wieści i rozlatywały się po przestrzeni szerokiej, budząc w sercach i głowach głębokie i wierne echa.

Poczta obywatelska w energicznym ręku Władysława Orszaka działała nieustannie, wiążąc powstańców ze światem i ludzi po świecie rozproszonych pomiędzy sobą. Człowiek ten, któremu nadaremna tęsknota do wysokiego życia czynu strawiła całą radość młodości, z radością teraz rzucił się w to życie i wraz z garścią pomocników swoich był wszędzie, dowiadywał się o wszystkim, ostrzegał, doradzał, świat uwiadamiał o tym, co dzieje się w głębi lasów, i głąb lasów o tym, co czyni i przedsięwzięje świat.

Tym sposobem poznawane, wewnętrzne życie obozu budziło uczucie radości, nie wolne przecież od pewnego uczucia grozy.

Kędyś tam, na otoczonej odwiecznymi drzewami rozległej polanie leśnej odbywały się ćwiczenia wojskowe, nieustanne, pracowite, pilne, mające ochotników nieumiejętnych przemienić w żołnierzy sztuki swej świadomych. Wzbudzało to dla wodza szacunek powszechny i przy opowiadaniach o jego ciężkiej,

niezmiernej pracy wzbijający się do stopnia czci. Ale zarazem panowała tam karność tak surowa, nawet sroga, że ludzi, dotąd sprawom wojskowym obcych, zdumieniem przejmowała. Ktoś tam — młodzieniec zaledwie dorosły — już z rozkazu wodza rozstrzelanym został. Ktoś inny był losu takiego bardzo bliski. Za brak posłuszeństwa. A posłuszeństwo łatwe nie było, nie! Regulamin panował koszarowy czy klasztorny, z niezłomnym dla każdej godziny przeznaczeniem, z nieubłaganym dla każdego człowieka obowiązkiem, z karami, które u szczytu miały karę śmierci dla każdego, bez względu na to, czy bogaty był albo ubogi, uczony albo prostak najmłodszy albo najstarszy. Wobec sposobu życia, żywienia się, uczynków nocnych, pracy wymaganej - zrównanie się doskonale stanów umysłowości, przyzwyczajęń. Ujęcie wszystkich woli w żelazną obręcz obowiązku, przeciągnięcie nad wszystkimi głowami nieugiętej linii równości. I groźby ciężkiej dla wszystkich, którzy by tę obręcz przekroczyć, nad tę linię wzbic głowy próbowali.

Ludziom, do wrażeń gwałtownych, do czynów krwawych, do dni surowo spędzanych nie nawykłym, jak „mdłym panienkom” sprowadzało to na skórę dreszcze przerażenia, ale milczeli, czasem mówiąc tylko. „Tak snadź trzeba!” Niemniej wiedzieli wszyscy, że tam, w głębi lasu obok wroga zewnętrznego czai się i grozi ten jeszcze, którego człowiek każdy w samym sobie nosi.

Siwi ojcowie nisko pochylali zamyślane głowy i matki ukradkiem łzy z oczu ocierały. Po zacisznych kątach domów i w cienistych alejach ogrodów płakiwały dziewczęta. W księżycowe

noce widzieć było można u okien otwartych klęczące postacie z twarzami podniesionymi ku osrebrzonemu niebu albo u słupów gankowych wyprężające się w powietrzu osrebrzone ramiona z załamanymi dłońmi. Gdy po długich czuwaniach domy usypiały, w ciemnych pokojach odzywały się krótkie krzyki, niewyraźne mowy, tęskliwe wołania. To krzyczeli, mówili, wołali ludzie śpiący.

Lecz w dni białe, na miejscach odkrytych, jawnie i głośno nikt nie wyrzekał nie płakał, nie buntował się przeciw niczemu. Duma wstąpiła w głowy i zabraniała im jawnej żalości, a w piersiach tkwiła i żalność gasiła ta radość tajemniczego pochodzenia, która sączy się z ofiary przed ukochanym ołtarzem zabijanej i krew jej przemienia w oliwę.

Zresztą na biadania, płakania, szemrania czasu nie było.

Żwawo i pracowicie po dworach, dworkach, zagrodach wypiekano ciemne chleby, wyrabiano białe sery, sporządzano zasoby żywności trwałej, odzieży rozmaitej.

Powozów na drogach prawie wcale widać nie było, gęsto w zamian turkotały wozy i wózki, lekkie a pakowne, wyskakiwały z nich przed progami niskich domostw kobiety wysmukłe i białe, wpadały do świetlic, w których znad gospodarskich statków podnosiły się na ich spotkanie postacie kobiece inne nieco, rumiane, tęgie, ogorzałe, lecz tak samo jak tamte jakimś słońcem świętecznym czy dusznym rozgrzane i rozpromienione.

Bywało wtedy w tych świetlicach, czyli pokoikach, izbach, mnóstwo gwaru złożonego z rozmów, zapytań, opowiadań,

wzdychań, wykrzyków, pocałunków. Śmiały się z nas barczyste i silne szlachcianki, gdyśmy obok nich nad statkami gospodarskimi stojąc, do wspólnej roboty rękawy na szczupłych ramionach zawijały; śmiałyśmy się ze szlachcianek, gdy zapytywały, czy też młodzi panowie, co są w partii, na takim ciemnym, choć i smacznym chlebie poprzestawać zechcą. Śmiałyśmy się wszystkie razem, ilekroć robota jakaś bardzo się nam udała albo nie udała. A gdyśmy jaką dobrą nowinę bądź z lasu otrzymaną, bądź w gazetach wyczytaną, przyniosły i opowiedziały, zrazu radość powszechna wybuchała, potem chwiała się w niepokojach, wątpieniach, aż przemieniała się w rozrzewnienie złożone z radości, niepokoju, wątpień, nadziei i wyciągały się ku sobie wzajem ramiona wątpłe i silne, białe i ogorzałe, spotykały się w pocałunkach usta... Jak pierwsi chrześcijanie w Chrystusie kochałyśmy się w Polsce.

Zatrzymywały się również wozy i wózki nasze przed niższymi jeszcze niż tamte progami siedlisk leśników, sług dworskich, różnych ludzi małych, teraz dla oczu naszych wielkich, dla serc drogich. Zamieszkiwały je rodziny przez mężów, synów, braci opuszczone. Nie mogło być, by ciałom ich chleba, a duszom pociechy brakowało. Dzieci bywało tam mnóstwo; na odgłos naszych wózków jak na spotkanie dobrej nowiny wylatywały z wesołym hałasem. Smutne żony uśmiechami wdzięcznymi rozjaśniały twarze, a stare matki wlepiały w nas źrenice spłowiałe, gdy wargi jak uschłe liście drżały i szeleściły szepem:

— Daj, Boże! Daj, Boże!

Potem wozy i wózki nasze, tak przedmiotami różnymi napełnione, że aż od nich kolorowe i pachnące, zwinnie przetaczały się od dworu do dworu coraz dalej, coraz dalej, ku Kanałowi Królewskiemu, za kanał...

Czasem na znak przez Orszaka lub pomocników jego dany wszystko zatrzymywało się, stawało, słuchało: „Teraz nie można! Szpiegi krążą! Wojska przechodą!” Albo: „Nie tymi drogami! Tamtymi! Tamtymi! Bezpieczniejsze!” Zwłoki bolały; nie bywały też nigdy długie. Zawsze znajdowały się sposoby, jeżeli nie te co wprzód, to inne. I znowu, czasem z objazdami dalekimi, przez okolice wpraw nie znane, brzegami łąk świecących szkłem wodnych rozlewów, skrajami lasów obrzeżających bezładne ugory, od dworu do dworu, coraz dalej...

Nieraz w drodze zapadały nad nami gwiazdziste lub pochmurne noce, nieraz o sinym świtaniu mijałyśmy jakieś domostwo niskie, z grzędami jaskrawych kwiatów przed progiem i wołały na nas stamtąd znajome głosy, abyśmy zatrzymały się, odpoczęły... Bywały cudne wschody słońca na niebie, różane od jutrzeńek, gdyśmy, bezsenne i spragnione, piły z glinianych kubków mleko pienne, nad oblanymi rosą grzędami ognistych nasturcji i piwonii.

I tylko — niestety — wozy i wózki nasze nie zatrzymywały się nigdy przed chatami chłopskimi.

Chaty te były przed nami zamknięte — niestety!

Zamykały je przed nami różnice wiary i mowy, błędy

przodków naszych — niestety! Niestety!

I była to skała, o którą rozbiła się nawa nasza, na straszliwe morze wypuszczona — niestety!

Na której piękny żagiel nasz rozdarł się — niestety!

Z której po krótkim dniu słonecznym spływała na nas noc ciemna, duszna, zimna, nieprzebyta — niestety!

Zamknięta przed nami chata chłopska była to ta skała — niestety! niestety! niestety!

Staczali bitwy...

Rozumiesz, że naocznym świadkiem ich być nie mogłam, a chociaż wiele, wiele razy słuchałam opowiadań o nich naocznych świadków, zrozumiesz, że dla ich malowania potrzeba ręki, do czego innego niż moja zaprawionej.

Do czego zaprawiała się ręka moja, ty wiesz! Na tym świecie bratobójczym, od złości żółtym i od krwi czerwonym, zaprawiała się ona do zdejmowania z nieba wysokich, czystych, kojących błękitów. Szalona była? To prawda. Lecz nie wymagaj teraz od niej farb czerwonych.

To jednak powiem, że stoczyli kilka pomyślnych bitew z wojskami, które ich po zaroślach, cieniach, labiryntach leśnych szukały, ścigały, tym nowym dla siebie sposobem wojowania niecierpliwione, rozjątrzone.

Tak nieraz kraje inne broniły się od niewoli albo zrzucały z siebie niewolę za tarczami swoich gór i skał. Myśmy górskich zasłon ani skalnych wierzchołków nie mieli, tylko tę jedną tarczę zieloną, odwieczne gniazdo rodu, z którego teraz ród

uczynił sobie twierdzę, a raczej wiele twierdz z osadzonymi w szumiących ścianach ich załogami.

Drobne liczbą musiały być te załogi, aby przez tę drobność właśnie posiadać lekkość, łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce, rozlatywania się i zlatywania na kształt ptaków, które przed myśliwcem umykają, a sposobność pomyślną dostrzegłszy spadają na niego gromadą skrzydlatą, dziobatą, zawsze rozlecieć się i znowu zlecieć gotową.

Drobne załogi te z natury być musiały, ale także i bardzo liczne. Aby starczyć, aby skutecznie czoło stawić ogromnemu i w formy regularne ukształtowanemu wojsku, ilość ich musiałaby być ogromna, musiałaby powierzchnię kraju usiać tak gęsto, jak gęsto gwiazdy usiewają sierpniowe niebo. Była niewielka, była za mała. Skurczyła ją, wzrost jej zatamowała, do stanu pożogi szerokiej, zwycięskiej nie dopuściła — niestety! — zamknięta chata chłopska.

W zielonej twierdzy lasów horeckich załoga okazała się dzielna i mężna. Tygodnie upływały, bitwy były staczane, a ona nie przestawała trwać, przeciwnie, miała niebawem wzrosnąć w liczbę i siłę przez połączenie się z inną jej podobną, którą ze stron niezbyt dalekich wiódł ku niej...

Jak dzwonek, radosną wieść ogłaszający, zabrzmiało w ustach ludzkich imię: Leliwa. Było to przybrane imię; ukrywało się pod nim inne, nam zresztą wiadome. Bił od imienia tego blask pięknej sławy, szły przed nim opowieści do legend podobne. Ci i owi mówili, szeptali: „Gdy się dwaj tacy wodzowie, gdy się

dwa takie oddziały połączą...” I upatrywali w tym połączeniu zawiązek narodowego, regularnego wojska albo spodziewali się po nim jakiegoś czynu tak rozgłośnego, zwycięstwa tak potężnego, że jak błyskawica firmament rozświeci, jak prądem elektrycznym ludźmi wstrząśnie i wszystkich do walki pociągnie, może nawet chatę chłopską przed nią otworzy.

Takie były marzenia — ale niechaj nie mówi nikt, że urojenia. Niechaj nikt marzeń wielkich z próżnymi urojeniami nie miesza, bo na dnie ich częstokroć spoczywa prawda, której tylko twarda tłocznia złej rzeczywistości ziścić się nie dała. Dusza ludzka, do wielkości stworzona, o niej w rozręsknieniu śni. Sny nie sprawdzają się, lecz w nich jest prawda, nie w wichrach, które kurzawy marne z ziemi podnoszą, z nich dla niej mogiłę usypują. Otworzy się kiedyś mogiła i wyjdzie z niej zwycięska prawda snów wielkich...

Gromadziły się naprzeciw załodze twierdzy horeckiej wojska liczne. Dlaczego aż tak liczne, przyczyn było wiele. Wytrzymałość jej i trwałość zadziwiały, budząc błędne przypuszczenia o jej liczbie i zasobach; zwycięstwa przez nią odnoszone upokarzały, gniewały, jątrzyły. Trzeba raz z tym skończyć. Pochód Leliwy przez lasy i moczary, powolny i skryty, zupełnie tajemnym jednak ani cel jego nie znanym zostać nie mógł. Niedobrze w zamian znana, cieniami lasów, pustkowieciem moczarów okryta była oddziały tego siła. Głębokie lasy, bezludne pustkowia, drogi tylko przez klucze wędrownych ptaków wykreślane tajemnic dobrze strzegą, a w każdej

tajemnicy tkwi ziarnko grozy i narzędziem optycznym najwięcej powiększającym przedmioty jest ich tajemniczość. Trzeba tedy przeszkodzić zlaniu się dwóch oddziałów, które gdy się dokona, przedstawi niewiadomą siły i celów najbliższych. Na koniec, nie było takiego argusowego oka, które by w każdym dniu i o każdej godzinie wiedzieć mogło, czy już nie dokonało się, wczoraj może, ubiegłej nocy może, przed godziną może... A jeżeli się to już stało? Przeciw cyfrze niewiadomej występować musiała cyfra wielka... Takie były przyczyny, dla których przeciw załodze twierdzy horeckiej wyprawić musiano ilość wojska w stosunku do jej ilości wielką.

O tym, że tak być miało, wiedzieliśmy i wiedział obóz. Nie darmo Orszak i pomocnicy jego pracowali. Niewiadomy tylko pozostawał dzień, w którym wojska ku lasom horeckim przyciągną.

Do dnia tego sposobiono się w obozie; do następstw jego przysposobić się musiała organizacja.

W wypadku każdym przewidywana była liczba znaczna rannych, a w wypadku rozproszenia znaczniejsza jeszcze tych, którzy schronienia krótszego lub dłuższego potrzebować będą.

Okazała się konieczność zgromadzenia pewnego zasobu chętnych sił ludzkich w jak największym pobliżu miejsca przyszłej i zapewne niedalekiej w czasie walki.

Dwór z dużym, murowanym domem, trochę na ruinę wyglądającym, zaniedbany, smutny, prawie ponury w swych białych brzożach i prawie czarnych świerkach. Mieszkał w nim

człowiek samotny, od dawna ciężką niemocą złożony i panowała towarzysząca zwykle niemocy i samotności cisza.

Lecz w tym momencie ani ciężka niemoc, ani orszak jej z odosobnienia i smutku złożony przeszkodą być nie mogły. Przeciwnie, odosobnienie, zaniedbanie, sława grobu, w którym przeciągle dogorywa człowiek już prawie umarły, dobroczynnie usuwały podejrzenie, przypuszczenie, że zakraść się tu mogła jakakolwiek fala wrzącego dokoła potoku.

Zakradła się jednak i żadnym głośnym objawem nie zdradzała swego istnienia. Białe brzozy i ciemne świerki zdawały się ocieniać grób.

W pokojach wysokich, od dawna zaniedbanych, wśród sprzętów nielicznych i ścian prawie nagich zwinnie krzątały się kobiety, długie rozmowy staczali mężczyźni. Pierwsze stale tu przebywały; drudzy zjeżdżali się, to rozjeżdżali w sposób najmniej dla oczu i uszu ludzkich wyraźny.

Nad stołami wznosiły się stosy sporządzanych szarpi, bandaży, rodzaju różnego bielizn i odzieży; u ścian bieleły troskliwie usłane pościele; gdzie indziej ważono, mierzono, przysposabiano kuchenne i spiżarniane zasoby.

W noc chmurną i dżdżystą ktoś do drzwi prowadzących na ogród zapukał.

— Kto tam?

Za szklanymi drzwiami stała postać w ciemności czarna, lecz głos znajomy wymówił imię znane. To jeden z przebywających w obozie lekarzy.

Pieszko przeszedł przestrzeń dzielącą obóz od kanału, wpływ przebył kanał i przyszedł tu, aby udzielić rozporządzeń czy wskazówek dotyczących się przyszłych rannych.

Godzinę tylko zabawi i przed wschodem słońca z powrotem znajdzie się w obozie. Odzieży osuszać nie będzie, bo nie warto czynić tego przed powrotnym wkrótce rzuceniem się do wody. Więc wodą ociekający, pijąc pospiesznie rozgrzewający napój mówi nam, co w domu znajdować się powinno, co czynić, jak sobie w wypadkach różnych radzić, w razie gdyby żaden z lekarzy obozowych nie stawił się na chwilę odpowiednią. Stać się to łatwo może, dla tej choćby przyczyny, że żaden może już nie żyć. I o tym jednak pomyśleć należy, aby nieżyjących czy uwięzionych ktoś żyjący i wolny zastąpił. Kogo, skąd do zastępstwa wezwać? Zaraz też oznajmić, uprzedzić: gdzie, kiedy.

Przed wschodem słońca młody lekarz znowu Kanał Królewski przepływał i ścieżkami leśnymi ku obozowi dążył, a niewiele później, o wczesnym poranku niepozorna bryczka z dwiema siedzącymi na niej kobietami przetaczała się od zaniedbanego dworu do miasteczka o mil kilka oddalonego.

Różowej jutrzeńki dnia tego na niebie nie było, szare chmury wschód słońca zasłaniały, na piaszczystej, nudnej drodze dął wiatr silny i biczami zimnego deszczu smagał. W mgle deszczowej karłowate sośniny na żółtych piaskach wyglądały jałowo i nędznie; po obu stronach drogi tu i ówdzie wysokie dziewanny, całe w kwiecie, przez wiatr miotane, zdawały się rozpaczać i ociekać żółtymi łzami. Czarne wrony na

zarośla zlatując krakaty. Na sercu leżał ciężar niewiadomego pochodzenia: może w smutku natury przeczucie smutku, o! jakiego smutku życia!

W miasteczku panował wielki ruch, pomimo że przestraszona ludność mało ukazywała się na mokrych dnia tego uliczkach. Ruch pochodził od wojska, którego liczba znaczna tylko co tu przybyła, a kiedy odejść stąd miała, nikt nie wiedział. Nie zaraz jednak pewno, bo oficerowie i żołnierze roztasowywali się po domostwach; plecy żołnierskie były już bez tornistrów, grzbiety końskie bez siodeł. Szare od deszczu powietrze napełniały czerwone i żółte plamy mundurów, sylwetki zwierząt, wozów, ładunków na wozach, panował zamęt i hasła życia niespokojnego, które przystanąwszy na chwilę, wzdęło się butą i pewnością swojej nieprzemóżonej siły.

Wśród pstrokacizny wojskowych ubrań i natłoku śmiałych ruchów przesuwały się, przebiegały postacie mieszkańców, pokorne, śpieszące, wylekłe, z twarzami pobladłymi; z wrzawy grubych głosów wyrzynały się piskliwe krzyki kobiet i płacze niemowląt.

O południu dnia tego przyjechał do nas Orszak i oznajmił:

— Jutro!

Dlaczego aż jutro, skoro do miejsca tak bliskiego już nadciągnęli? Czekają zapewne na nadciągnięcie innych...

Przed zmrokiem naczelnik organizacji udał się do obozu dla pomówienia z naczelnikiem partii. Prowadził go przez las, jemu nie znany, wybornie go znający stary stolarz Antoni, który syna

miał w partii. Wczoraj tu przyszedł z miasteczka, w którym warsztat swój posiadał, z zapytaniem, co tam z naszymi słyhać. A teraz śmiał się pod białym wąsem i ręce zacierał ciesząc się: „Chłopca mojego zobaczę!”

Niewiele przed północą powrócili i z twarzy naczelnika organizacji widać było, że nie zadowolili go wynik rozmowy. Z Orszakim i starym Ronieckim, który o późnym wieczorze tu przybył, długo w noc po cichu rozmawiali. Zdaje się, że szło o to, aby Traugutt uniknął bitwy z siłą tak przeważającą, przez cofnięcie się w ciągu nocy dalej, głębiej w lasy, które łączyły się z horeckimi i że on na to się nie zgodził. Zdaje się, że przyczyną niezgodzenia się były niedogodności gruntu, które przyśpieszonym pochodem przebywać wypadałoby i obawa, aby rozkaz cofania się nie osłabił odwagi i ufności w siebie świeżego żołnierza.

Noc była bezsenna i niespokojna. Wiele niepokoju przyczyniała Czernicka, żona nadleśnego, której mąż, strzelec wyśmienity, i syn dwudziestoletni, jedynak, byli w partii. Gospodyni doskonała, kobieta pracowita i uczciwa, była nam tu w zajęciach naszych bardzo użyteczna i lubiliśmy ją, choć po kryjomu uśmiechałyśmy się czasem z jej gadatliwości niezrównanej, głosiku piskliwego i niezwykle wysokiej a cienkiej figury, u której szczytu żałośnie jakoś sterczał z tyłu czaszki cieniutki, czarny, spiralnie zwinięty warkoczyk. Z tą Czerniusią naszą, wesołą zwykle, czynną, raźną i aż nadto mówną tej nocy nie wiedzieć, co się stało. Wstąpił w nią jakiś duch niepokoju,

strachu, tęsknoty, nad którym nic zapanować nie mogło. I był to duch w gadatliwej kobiecie tej bardzo dziwny, bo jak grób milczący i tylko przymuszający ją do ciągłego chodzenia, snucia się dokoła nas, patrzenia w twarze nasze małymi, czarnymi oczkami, z których wyglądała jakaś niewysłowiona i żadnym słowem nie wyrażana męka. Do spoczynku położyć się nie chciała, jeść ani mówić z nami nie chciała, robić nic nie mogła i tylko z żalonym warkoczykiem swym u szczytu długiej i cienkiej figury, z drobną, żółtą twarzą, w męce nieprzemóżonej skurczona chodziła wciąż, chodziła, snuła się pod ścianami, dokoła stołów, a za nią chodził po ścianach długi i cienki jej cień. Zatrzymywała się czasem u otwartych drzwi pokoju, w którym mężczyźni rozmawiali i zdaje się, że podsłuchiwała ich rozmowę... Ta przez długie godziny nocne w milczeniu grobowym chodząca wciąż i chodząca z męką na twarzy postać przypominała nam owego na wozie kołyszącego się wciąż i kołyszącego dziaka. Mdlały i bolały od jej widoku wszystkie nerwy.

Dzień wszedł słoneczny, upalny, duszny, ze szmatami chmur, przewłóczącymi się pod wyiskrzonym niebem.

W pokoju wysokim prawie pustym kilkanaście osób, kobiet i mężczyzn, stało u szczelnie pozamykanych okien patrząc przez wielkie, lecz mętne od zaniedbania szyby na przechodzące i przejeżdżające wojsko.

Przejeżdżało i przechodziło szeroką, piaszczystą drogą za bramą i ogrodzeniem dziedzińca tak blisko, że można było

wyraźnie dostrzegać postacie oddzielne, barwy ubrań i koni.

Rozłożyste gałęzie drzew rosnących za oknami część szczegółów zasłaniały; rozchyłał je, to znowu łączył wiatr dość silny i było to tak, jakby niewidzialne jakieś ręce rozsuwały, to zasuwaly zielone firanki, przed obrazem ruchomym, jaskrawym, błyszczącym, przesuwanym się długo... długo...

Szli i jechali, szli i jechali, z krótkimi czasem przerwami wśród oddziałów. Ubranie ich w świetle słonecznym iskrzyło się od barw i metali, bronie błyszczały, kroki monotonne szumiały, niekiedy głucho grzmiały.

Siła. Siła liczby i żelaza. Siła wielka. Nie setki już mniejsze lub większe, jak wprzód, ale tysiące.

W pokoju panowało milczenie, szmerem oddechów nawet nie mącone, bo przeciągająca przed oczyma siła kładła się na oddechach, tamowała je i dławiła gardła. W tym milczeniu czyjś głos wymówił:

— Jenerał!

Kilka powozów z wolna toczyło się po piaszczystej drodze. Jeden z nich nalany był jaskrawą czerwonością i zaświeciły w nim jakieś srebrne włosy. Kilka rumianych twarzy dokoła tej srebrnej głowy, mnóstwo jeźdźców i koni dokoła powozu od połączanych brązów błyszczącego.

Była chwila, w której zdawać się mogło, że powóz stanie przed bramą dworu — i krew w żyłach zastygła. Wsiądą z powozu, wejdą do domu, może będą szukali tego, czego dom ten pełny, może będą zapytywali o to, o czym ustom naszym mówić przed

nimi za cenę życia niepodobna...

Ale nie; to tylko w grząskim piasku koła powozu obroty swe zwolniły. Stangret z ramionami w czerwonych rękawach jak struny wyprężonymi przed piersią w czarny aksamit ubraną gwizdnął, konie okryte mosiądzem błyszczącym i brzęczącym ruszyły prędzej, powóz minął bramę, za nim w otoczeniu jeźdźców przesunął się jeszcze i jeszcze jeden. Sztab jeneralski. Za powozami pełnymi ludzi młodych jeszcze, jak na bal wystrojonych, z ożywieniem gestykulujących, znowu wojsko piesze, konne, potem jeszcze bryki wojskowe na zielono pomalowane, ładunkami spiętrzone i na koniec proste wozy chłopskie, potrzebom jakimś żołnierskim służyć zapewne mające. Wiele chłopskich wozów; powożą nimi ludzie w szarych siermięgach i baranich czapach, nad twarzami ciemnymi, obrosłymi, obojętnymi, znudzonymi.

Do jednostajnie przed obu zapaśnikami zamkniętej chaty chłopskiej zapukała siła, ludzi tych z niej wyprowadziła i za sobą prowadziła. Milczący Sfinks leniwie i obojętnie ciągnął za tyśiącogłowym kolosem, a zbiorowe oblicze jego spod czap baranich zdawało się mówić: „Muszę!” i „Wszystko mi jedno!”

Na koniec opustoszała piaszczysta droga i nic już na niej nie było oprócz tumanów kurzawy żółtymi strzępami opadającej na pobliskie drzewa.

Odstąpiliśmy do okien i usiedliśmy, gdzie komu było najbliżej. Nikt nic nie mówił, zdaje się, że nikt nikogo i nic dokoła nie spostrzegał. Myśli w głowach milczały, na sercach

leżały bryły lodu.

Służący ukazał się we drzwiach otwartych i dziwnie cichym głosem oznajmił podany obiad. Nikt długo nie czynił najmniejszego poruszenia, a potem ktoś wstał i przymknął drzwi pokoju, w którym krzątała się służba i podzwaniały naczynia stołowe. Powszednie widoki stały się dla dusz nieznośne, powszednie potrzeby w ciałach umilkły. Nic, tylko ten kolos, który tylko co przed oknami przeciągnął, tylko ta siła żelazna, ogromna i przed oczyma, w uszach jej błyski, barwy, brzęki, turkoty, tętenty...

Zupełnie niepodobna mi powiedzieć, ile czasu upłynęło do tej chwili, do tej niespodziewanej tak rychło chwili, w której za domem, nie w bezpośredniej jego bliskości, ale w niewielkim oddaleniu uderzył w powietrze stuk ogromny — i my wszyscy zerwaliśmy się na nogi, z jednym u wszystkich okrzykiem:

— Strzelają!

Potem krótki pomiędzy nami zgiełk zapytań, zadziwień.

— Już! Tak rychło? Jak to? Gdzie tak blisko? Oni przecież w głębi lasu... a strzały u jego brzegów, nad kanałem.

Pośrodku przestrzeni dzielącej dwór od kanału wznosiło się wzgórze dość wysokie, nie wiedzieć jak wśród płaszczyzny tej powstałe. Na piaszczystych jego zboczach rosły sośniny cienkie i rzadkie, krzaki jałowcowe, mchy i czombry.

Szerokim otworem pozostały za nami drzwi domu, pustką stanęły pokoje domu; biegliśmy ku wzgórzcu i nie dosięgliśmy jeszcze wierzchołka, gdy las zahuczał potężnym, przeciągłym

grzmotem.

Tak, las zagrzmiał. Bo gdy z tej strony niedalekiego i nieszerokiego szlaku wody nieprzejrzaną wstęgą ludzi i koni rozwijało się wojsko, gdy na różnych punktach powierzchni wodnej, bliskich, dalszych, dalekich, widać było przebywające wodę jego oddziały, strona tamta, przeciwna, pusta była i bezludna. Nic tam nie było krom nierównego w swej szerokości pasu łąki nadbrzeżnej i za nią, pogiętej w zagłębienia i wypukłości, ciemnej ściany lasu.

W ciemnej, nieruchomej, milczącej ścianie lasu grzmiało i błyskało, po czym stawała się ona znowu ciemna, nieruchoma, milcząca.

Budziła się w zaczarowanym pałacu swoim straszna baśń...

Jakiś wśród nas przytłumiony głos wymówił:

— Partię na brzeg lasu przyprowadził...

Inny wnet dodał:

— Przeprawy przez kanał broni...

— Nie, nie! Tego dokazać by nie potrafił i wie o tym.

Żołnierza swego na duchu podnosi!...

Naczelnik organizacji do Orszaka, Ronieckiego i innych starszych rzekł:

— Oznajmia, że bitwę przyjmuje...

Jeżeli w słowach tych była ironia, to na wskroś przejmował ją ból.

Wielkie masy zbrojne wobec niespodzianki, która je zaskoczyła, spokojne były i milczące. Poruszały się z

powolnością rzeczy ciężkich, które utrzymywane są przez doskonałe karby na liniach stałych i prostych. Żadna drobina nie odrywała się luźnie od tej potężnej całości, żaden zamęt nie objawiał się w żelaznym tym porządku. Liczne i z oddala czarne jej oddziały na wielu jednocześnie punktach przebywały wodę i przebywszy ją okrywały szlak nadbrzeżnej łąki.

A las na to wyładowywanie się u stóp jego siły najeżonej żelaznymi ostrzami patrzył przez dość długie chwile w milczeniach kamiennych i zdawać się mogło, że w nim nic nie istniało krom drzemiącej w zakętym pałacu baśni, aż znowu nagle coś na zielonym jego podłożu zrywało się z ogromnym stukiem, który ciemne ślady swoje tu i ówdzie na łące i wodzie pozostawiał.

Tu i ówdzie na łąkę i wodę upadało coś, co z oddalenia miało pozór plam drobnych, ciemnych. Podnoszono to i składano na wozy chłopskie, u których nie było już powoźników.

Sfinks na odgłos grzmotów, rozlegających się u brzegu lasu, rozproszył się na gromadki, które przestrzeni jak największą od tego, co się działo, życie własne odgradzać usiłowały. Kilka jego baranich czap zabiegło aż na nasze wzgórze i zza cienkich sośnin wychylało oblicze ciemne, włosem zarosłe, czasem ciekawe, czasem złośliwe, najczęściej obojętnie mówiąc: „Nie obchodźcie nas ani jedni, ani drudzy i walka wasza nic nas nie obchodzi Wszystko nam jedno!”

Tak na toczące się po górskich wyżynach boje Ateńczyków z Lacedemończykami z przyziemnych siedlisk swych spoglądać

musieli heloci.

Jeszcze raz grzmiotem przemówił las, jeszcze i jeszcze raz, aż umilkł.

Zerwała się była baśń z zielonej pościeli, krzyknęła i znowu opadła w zakłęta ciszę. Teraz w tajemne, głębokie jej pielesze wpływały szumiące, błyszczące potoki. Na wielu jednocześnie punktach wpływały powoli, znikwały, aż zniknęły. Za nimi na ostatku wciągnęły w ciemną uciszoną ścianę wozy z czapami baraniami i nic już nie było.

Nic już nie było prócz błękitnego szlaku wody pomiędzy szlakami łąk zdeptanych, chmur, które nabrzmiałymi szmatami chodziły po niebie, i wiatru, który kołysał wierzchy cienkich sosen. Mocny zapach podnosił się od rozrzuconych po wzgórzu liliowych plam czombu.

Długo, bardzo długo nie działo się nic wcale. Gromadka ludzi na wzgórzu stojących i siedzących z rzadka zamieniała się cichymi słowami. Potrzeby szeptania nie było. Drobne ptaki chyba, z trwogi po jałowcach i sosnach umilkły, podsłuchiwać by nas mogły. Lecz bywają wzruszenia, które niemocą dotykają głosowe struny i momenty, w których człowiek, na głos Boga oczekując, swojego podnieść nie śmie.

Ktoś cicho zapytał:

— A teraz gdzie... gdzie...

Ktoś inny podjął nie dokończone pytanie:

— Gdzie spotkają się?

— Kędyś... w głębokościach lasu. Ale nie zaraz! Nie zaraz!

— Takiej ciężkiej masie zbrojnego wojska posuwać się przez lasy gęste...

Uśmiechy wybiegły na twarze.

— Niełatwo!

— Żołnierz nawykły do pól otwartych lasu nienawidzi...

— Dowódcy go nie znają...

— Chłopi drogi pokazują... prowadzą...

Uśmiechy na twarzach pogasły. Serca przewiercił ból. O, czasie, roznosicielu pomst spadających na głowy niewinne, najlepsze! Ale czy ta pomsta i nad głowami mścicieli także nie rozwiesi całunu ciemności?

— Słuchajcie! Słuchajcie! Z cichego łoża lasu znowu zrywają się zaklęte baśnie i rozmawiać z sobą zaczynają! Zamieniają się grzmotami, długimi hukami, które następują po sobie coraz szybciej, coraz dłuższe i grzmotliwsze.

Nie widać nic, tylko te dwa grzmoty, toczące się w głębinach lasu, świat sobą napełniają...

Nie widać nic; słuch tylko pracuje, a praca to ciężka. Krew od niej we wszystkich pulsach stuka, jak pośpieszne uderzenia młotów.

Ktoś wśród nas z cicha tłumaczy:

— Te monotonne, ciężkie, jakby zbite w sobie huczenia, to rotowy ogień wojska... a te krótsze, słabsze, jakby z mnóstwa drobnych i szybko po sobie następujących stuknięć złożone, to ogień naszych...

— A podwójne, odosobnione stuknięcia czy słyszycie? Taf,

taf! — taf, taf. To nie dość wyuczeni czy niesforni — z dubeltówek!

Słychać krzyk. Tłumny, zgiełkliwy krzyk, raczej ogromne krótkie wrzaśnięcie wzbilo się nad ścianę lasu, a wnet po nim potoczył się w jego głębi rotowy ogień dłuższy, potężniejszy od poprzedzających.

To wojsko krzyknęło: hurra! Pchnięto do bitwy nowe roty.

Wtem za nami, obróconymi w stronę lasu, głos jakiś donośnie wymówił:

— Módlmy się!

Obejrzelismy się wszyscy. Za nami, pomiędzy dwoma cienkimi pniami sosen stała Czernicka. Wysoka i cienka, twarz drobną i żółtą wysoko podnosiła ku niebu i wysoko nad głowę podnosiły się jej ramiona, na których chusta okrywająca plecy rozpiniała się jak dwa skrzydła z nici czarnych i żółtych utkane, przeświecone słońcem. Zawołała:

— Módlmy się!

I upadła na ziemię, z ramionami nad głową wyciągniętymi, czoło do mchu suchego przyciskając. Chusta rozłożyła się po obu jej stronach jak omdlałe skrzydła i znad mchu głos silny, głuchym, głębokim stękaniem podszyty, mówić począł:

— Chryste, usłysz nas! Chryste, wysłuchaj nas! Chryste z nieba Boże!...

W lesie grzmiało nieustannie.

Kilka osób uklękło, inne zostały w postawach stojących.

W postawie stojącej został naczelnik organizacji i rosły,

urodzony, ze skrzyżowanymi u piersi ramiony, na tle nędznego drzewa, o które się opierał, podobny był do posągu w myślach straszliwych skamieniałego. Straszliwe myśli rżnęły mu czoło w mnóstwo fałd i zmarszczek, że wydawał się o dziesięć lat starszy, niżeli był wczoraj. Dalej nieco za nim, przez iglastą zasłonę gałęzi widać tylko dwie czaszki siwymi włosami okryte i bardzo ku sobie zbliżone. To Roniecki, biały ojciec dwóch śmiertelnie może już tam zaczerwienionych synów, i stolarz Antoni. Snadź o czymś rozmawiają, z cicha, lecz żywo, bo zza iglastej zasłony raz w raz ukazują się ręce ich to bielsze, to ciemniejsze, czyniąc dziwne ruchy i gesty. Te ręce mówią, żalą się, trwożą, nienawidzą...

W lesie grzmiało nieustannie.

Tuż przy mnie z czołem do sosny przyciśniętym klęczała siostra Mariana Tarłowskiego, młodzianka Anielka. Rodzeństwo to nazwano parą ładnych dzieci. Podobno ładną, złotowłosą dziewczynę pokochał był piękny Jagmin. Teraz złote włosy rozsypały się po dziecinnie drobnej jej kibici, profil twarzy zasłoniły i widać było tylko dwie bardzo małe ręce splecione tak silnie, że aż krwią nabiegłe, przyciskające pierś wątlą i tak nieruchomą, jakby oddech jej ustał i życie w niej zastygło. Po opadłym igliwiu sosnowym zaszeleściły lekkie kroki. To Stefunia, cała blada, szła do rozciągniętej na ziemi Czernickiej, przy niej uklękła i białą ręką gładzić poczęła jej włosy, spiralną linią warkoczyka żałośnie z tyłu czaszki ku górze sterczące. Zdaje się, że szeptała nad jej głową jakieś słowa pokrzepienia

czy współczucia, które zapewne słucho jej nie dochodziły, bo od ziemi szedł wciąż głos donośny, głuchym stękanem podszyty:

— Jezu, słońce sprawiedliwości, zmiłuj się nad nami! Jezu, Ojczy przyszedłego wieku...

Powazny głos Orszaka z wtorem kilku głosów kobiecych odpowiedział:

— Zmiłuj się nad nami!

W lesie grzmiało jeszcze.

Ktoś kilka razy krzyknął przeraźliwie, po czym spazmatycznie śmiać się i szlochać zaczął. To służąca moja, Marylka Jaroszyńska, której trzej młodzi bracia byli tam. Podnosiła ją z ziemi, obejmowała, uspokajała Klementyna Roniecka, wysmukła panna z pięknymi oczyma i myślącym czołem. Na pomoc im śpieszyło kilku mężczyzn...

W lesie grzmiało ciągle.

Kłęczałam na kobierczyku liliowego czombru i także kobierczyki, mniejsze, większe, po zboczu wzgórza zbiegały coraz niżej, aż na białe piaski, które słały się daleko, pod szlak nadbrzeżnej łąki. Na piaski i na łąki, od sosen i wierzb kładły się cienie długie, ukośne, jak bywa zwykle o zachodach słońca. Słońce nisko już stało nad samym lasem, a wielka twarz jego, złota, pogodna, patrzyła na nas obojętnie i spokojnie, tak jak wtedy ów zegar znad czarnej kolumny, jak czas, wiekuista i w wiekuistości swojej niewzruszona.

W lesie grzmiało jeszcze.

Zmrok zapadał. Nie było już nad lasem słońca. Wiatr spędził

spod nieba chmury i ucichł. Na niebie wystąpiło trochę tylko gwiazd bladych, jak w porach pełni księżycowych bywa zwykle.

W lesie ustały grzmoty, lecz nie uczyniło się w nim zupełnie cicho. Po głębiach jego bliższych, dalszych, dalekich, szły i rozchodziły się głośne, to cichsze, to zaledwie echowe pogłosy nawoływania, hukania.

— Heej-haaaa! Hoo-hooj! — wołała tam baśń zaklęta, która dziś w sen i milczenie zakląć się nie mogła.

Tu i ówdzie, dalej, bliżej, jakby ktoś kogoś ścigał, jakby kto kogo do ścigania naglił. I wśród wołań tych tajemniczych, przeciągłych, echowych, kiedy niekiedy gromkie, krótkie, podwójne wystrzały: taf-taf! taf-taf!

Co wystrzały te znaczyły — nikt nie wiedział. Co wołania owe znaczyły — nikt nie wiedział.

Nagle rozebrzmiał w lesie taki sam jak parę razy już przedtem krzyk gromowy, zbiorowy, raczej wstrząśnięcie. To żołnierskie, wielotysięczne: hurra!

Potem znowu takie same jak wprzód wołania, tylko coraz dalsze, i takie same jak wprzód stuki dubeltowe: taf-taf! taf-taf! Tylko coraz rzadsze...

Włosy na głowach powstawały.

Zza dalekiego skrzytu lasu ukazywać się począł czerwony księżyc w pełni. Godzina musiała być już późna: musiała być nocna, gdyż księżyc w tej porze wschodził około północy. Po wodzie, po piaskach, po wzgórzu rozlało się czerwonawe półświatło. Las ucichł zupełnie.

Co się tam działo? Co się tam dzieje? Niepodobna było ani dojrzeć, ani dosłyszeć stąd rzucania się ciał ludzkich na wody kanału; ku wodom tym przecież zwracał się z natężeniem nasz wzrok i słuch.

Księżyc wyrastał nad lasem, aż stanął nad nim okrągły, ogromny, czerwony.

W ciszy, kędyś u skłonu wzgórza coś zaszemrało pomiędzy sosnami, niezrozumiale zrazu, potem wyraźniej:

— Mamo! Mamo!

Szmer to był, szept, raczej powiew smutny, jednak usłyszała go Czernicka i z krzykiem: „Stasiek!” porwała się spomiędzy sosen. Jak cień wysoki i cienki, ze skrzydłem rozwianej chusty za plecami, w czerwonym świetle zlatywała ze wzgórza i zlatywał z nią razem głos jej zdyszany, wołający:

— Stasiek! A ojciec? Jezu, Boże mocny! Co się stało... Ojciec gdzie? Jezu, przez mękę i krwawy pot Twój! Ty żyjesz, Stasiek! A ojciec! Co stało się?... Mów...

Ale wysmukły i bardzo blady wyrostek, w szerokim pasie na zmoczonej odzieży, mówić nie mógł. Rękę podniósł do szyi owiniętej szmatą od krwi czerwona, zachwiał się i w ramiona matki upadł...

Od kanału ukazywać się zaczęły na łące i piaskach cienie ku nam dążące, z oddalenia drobne, w czerwonym świetle czarne cienie ludzkie...

...Jezu, słońce sprawiedliwości, Ojczy przyszedłszy wieku, kiedyż wiek Twój i sprawiedliwość nad światem wzejdą?

Oficer

(R. 1863)

W pewien wieczór zimowy, długi i samotny, rzekła do mnie dawna bliska znajoma moja:

— Dobrze; życzenie twoje spełnię. Opowiadać ci będę o tych dziejach dawnych, widzianych, słyszanych, odczuty, przeżytych, na dnie pamięci i na dnie serca wiecznie żyjących. Strumień czasu po nich płynął i pod wartkami jego falami bladły niekiedy ich obrazy, lecz nie znikwały nigdy; dziś powstają tętniące pulsem chwili, która je zrodziła, rozlegające się krzykami tragedii, pomalowane barwami poezji tak głębokiej, jak głęboka była ta otchłań ofiar i mąk...

Dobrze; ja tobie w ciszy i zamknięciu ścian samotnych opowiadać będę dzieje te i pokazywać postacie, które je stworzyły, a ty szeroko rozemknij ściany i dzieje powtórz, a postacie pokaż szerokiemu światu.

Chwila sposobna nadeszła. Chwila potrzeby nadeszła. Niech serca ostygające dla ojczyzny przybliżą się do tego żużlu, który niegdyś spadł był na jej drogę, niech odetchną wonią jego piekącą i gorzką.

To woń samego mięszu drzewa spalonego na ofiarnym stosie. Kto ją w płuca swe wciąga, tego oczy napełnią się łzami i serce uderzy mocno, a w tych łzach i w tym uderzeniu wskrześnie Miłość.

Nie dla potęgi żelaza i złota Miłość, ani dla rozkoszy pychy, ani dla triumfalnego wołania na świat cały: Ja! Ja! Ja! gdy drudzy grzęzną w pogardzie i nieszczęściu.

Inna Miłość.

Ta, której zakochane oczy obejmują ziemię ojczystą, jak nad wszystko w świecie rodzeńsze, milsze oblicze matki;

której przywiązane oczy wpatrują się w naród ojczysty, jak w nad wszystkie inne bliższe, milsze grono rodzonych braci;

której wierne oczy towarzyszą braciom na drogach cnót, nad którymi rozpalają pochodnie radości;

której uwielbiające oczy wznoszą się ku dwom wielkim gwiazdom, noszącym imiona Sprawiedliwość i Wolność;

której mądre oczy dostrzegają, że bez światła tych dwóch gwiazd ciemna musi być ziemia i nieszczęśliwe muszą być jej narody.

Opowiadać ci będę o ludziach, którzy mieli w sobie miłość z takimi oczyma i dlatego byli mięszem swojego ojczystego drzewa.

Dlatego również zgorzeli na ofiarnym stosie.

Opowiadać ci o tym będę w ciszy i zamknięciu ścian samotnych, a ty szeroko rozemknij ściany i do tych, którzy zaprzeczają istnieniu w narodzie swym miłości ku wielkim gwiazdom, krzyknij, że kłamią!

I pokaż im tych, którzy z miłości dla wielkich gwiazd ginęli wtedy, gdy na przestrzeni rozległej, ogromnej, nikt jeszcze samych imion ich z miłością wymawiać nie umiał lub nie chciał.

Oni miłość tę wzięli razem z krwią poprzedników swoich i razem ze swoją krwią przelali ją w swych następców. Więc byli i są w narodzie naszym czciciele gwiazd.

Wówczas pełny ich był nasz kraj, ja spomiędzy nich garść jedną tylko znałam. O niej tobie opowiadać i ją pokazywać będę.

Lecz nie z porządku, nie z kolei, nie według dostojęństw, nie według dat.

Co powiew chwili do pamięci przyniesie, co wyobraźnia najwyraźniej wymaluje, co wyszepcze do ucha ten głos tajemniczy, który skądś, z niepojętych głębin czy wyżyn, myśli i słowa nam dyktuje...

I

Dwór to był stary, ze starym, dużym, niskim, białym domem, ze starym, wielkim, cienistym ogrodem, z dziedzińcem rozległym, zasadzonym drzewami, krzewami, kwiatami. Dwór to był poleski, więc dookoła i z bliska otaczały go stare, głębokie i wysokie lasy.

Od tego dworu niedaleko błękitniał na zielonych łąkach pas wody, niegdyś tu dla celów handlowych wykopany i niewiele dni minęło, odkąd partia powstańcza pod wodzą Romualda Traugutta przebyła ten Kanał Królewski i pograżyła się w głębokości tych starych, wysokich lasów. W pochodzie swym dla wytchnienia i posiłku zatrzymała się była w tym dworze, a wkrótce potem o sinym brzasku jednego z pierwszych dni czerwcowych mieszkańcy dworu zbudzeni zostali nadpływającym ku domowi szumem głosów ludzkich z tętentu kopyt końskich, z turkotu wozów złożonym. Wojsko nadchodziło. Miało zapewne w ślad za partią pograżyć się w głębie ciemnego lasu, lecz przedtem jeszcze zatrzymać się w tym miejscu, które tamtej posiłku i odpoczynku udzieliło.

Nie wszyscy jednak we dworze spali, bo zanim czarny w brzasku porannym sznur ludzi i koni ku bramie dziedzińca się zbliżył, dwaj młodzi mężczyźni z domu wybiegli i bardzo śpiesznie skierowali się ku miejscu, gdzie u sztachet otaczających dziedziniec stał osiodłany koń. Biegając, zamieniali się krótkimi

słowami.

— Czy wielu ich jest?

— Niewielu! Rota piechoty, secina lub dwie Kozaków.

— Widziałeś dobrze?

— Oho! Z tego dachu i przez lunetę można by prawie ich przeliczyć...

Były to więc czaty, z lunetą na najwyższym z dachów dworu czuwające. Sprawiał je młodzieniec dwudziestokilkuletni, niewysoki, lecz silnie i zgrabnie zbudowany, w ruchach i mowie niezwykle żywy. Drugi równie młody, ale węższy i powolniejszy, był właścicielem tego dworu. Obaj nie znajdowali się tam w ciemnych głębiach lasu dlatego, że obecność ich tu właśnie była potrzebna.

U samego już osiodłanego konia dopadła ich młoda dziewczyna, zaledwie w bielizny poranne ubrana, z rozrzuconą na plecach gęstwiną długich włosów.

— Olesiu! — krzyknęła. — Tylko ostrożnym bądź! Proszę cię... w ręce im nie wpadnij!

Chłopak z nogą w strzemieniu zaśmiał się świeżo, młodzieńczo.

— Cha, cha, cha! Czy myślisz, że jak zając jednym okiem na koniu spać będę?

Dziewczyna zaśmiała się także.

— Zmiłuj się, otwieraj dobrze oczy i uszy! — W śmiechu jej i głosie drżały łzy. Z konia już podał jej rękę.

— Bądź zdrowa! Nie lękaj się! Przeniesie mnie mój Piorun

choćby przez piekielne drogi.

Właściciel domu mówił śpiesznie.

— Najgorsze to, że lasu dobrze nie znasz. Gdy wyjedziesz z obozu, o pół wiorsty dwie drogi będą...

— Wiem, wiem! Już mówiłeś... jedna na prawo, druga na lewo...

— Pamiętaj wziąć się na lewo... gęstwina tam zaraz będzie i za nią moczar, który okrążysz... pamiętaj, drogą na lewo... Tą, co na prawo...

— Oni iść będą...

— Niewątpliwie!...

— Bylebym się nie spóźnił..

— Oho! Zabawią tu... Wszakże rewizja...

— A, prawda!

— To potrwa długo!

Wypuścił konia bocznymi wrotami dziedzińca na drogę przez drzewa przysłoniętą i bliskim kresem dotykającą lasu, a brat i siostra śpiesznie zwrócili się ku domowi, którego drzwi na ganek obszerny wychodzące cicho i szczelnie za nimi się zamknęły.

W tej samej chwili czoło nadchodzącej kolumny wojskowej dotykało już szerokiej bramy dziedzińca i nad otaczającymi go sztachetami wzniosły się w sinych błękitach świtania czarne ostrza kozackich pik.

Po niewielu minutach dziedziniec napełnił się tłumem ludzi, koni i wozów. Z wozów z karabinami na ramionach zsiadali żołnierze, gdy wśród szumu krzyków i poruszeń ludzkich

donośnie rozlegały się rozkazy dowódców i przed każdym oknem oraz przed każdymi drzwiami domu stawał na koniu w wysoką pikę uzbrojony Kozak.

Otworzyło się jedno, drugie, trzecie okno domu, wyjrzały przez nie i wnet ukryły się głowy kobiece i męskie. Rozwarły się ciężkie, staroświeckie drzwi na ganek z czterema grubymi słupami wychodzące i na czele kilkunastu żołnierzy uzbrojonych, w obszernej sieni przez młodego gospodarza spotkani weszli do domu dwaj oficerowie. Rewizja.

Szukali broni, kul, prochu, ludzi ukrytych, papierów zabronionych, odzieży podejrzaney, wszelkich śladów i dowodów współdziałania i współczucia z tymi, za którymi niebawem udać się mieli w tajemnicze i nienawistne im głąbokości leśne. O współdziałaniu i współczuciu wątpić nie mogąc, szukali śladów ich i dowodów, może też dla siebie samych jakichś wskazań i światła, a nie znajdując, coraz głębiej, coraz popędliwej rozkopywali, rozkruszali, rozorywali dom. Z ust oficerów wypadały zwracane do żołnierzy rozkazy:

— Oderwać podłogę! Rozbić zamek! Porozrywać pokrycie sprzętów! Wysypywać ziemię z wazonów! Przebić ścianę, która przy uderzeniu wydaje dźwięk głuchy! Wysadzić drzwi, od których klucz kędyś zaginął!

Stukały młoty, rozlegały się i w coraz większą wrzawę wzrastały grube głosy, spod ciężkich butów, spod odrywanych posadzek, z rozdieranych ostrzem pałaszy materii wzbijały się pod niskie sufity pokojów krztuszące i żółte kurzawy,

obrazy ze ścian padały na szczątki sprzętów, ktoś kolbą strzelby uderzył w zwierciadło, które z trzaskiem błyszczące okruchy po ruinach rozsypywało, ktoś inny z grubym śmiechem rozbijał dach fortepianowy, aż roztrzaskiwał się na drzazgi i klawiatura wydawała pod ciosami przeraźliwe krzyki i zgrzyty, u okien waliły się na oderwane części posadzek wysokie oleandry, begonie, kalie pozbawione ziemi, w której wzrastały. Wszystko to sprawiali żołnierze zrazu w milczeniu i tylko rozkazom dwóch oficerów posłuszni, z coraz głośniejszymi wybuchami głosów rozjątrzonych albo drwiących, z coraz zamaszystszyimi rozmachami ramion, ubranych w grube i grubymi błyskotkami połyskujące rękawy mundurów. Oprócz tych, którzy za przywódcami swymi tu weszli, wsuwać się zaczęli inni, zrazu wahający się i cisi, potem coraz głośniejsi i śmielsi. Tu i ówdzie w pewnym oddaleniu od oficerów wybuchać zaczęły grube śmiechy; te i owe usta przeżuwały przysmaki we wnętrzach sprzętów znajdowane, gdy głodne oczy z połyskami chciwości biegały po kątach i sprzętach pokojów upatrując pożądaných łupów. W powietrzu czuć było rozpoczynającą się swawolę żołdactwa. Nie poskramiali jej, nie zdawali się jej spostrzegać dwaj oficerowie.

Byli to ludzie zupełnie do siebie niepodobni. Setnik kozacki z wysmukłą postacią urodziwego młodzieńca, ze smagłą cerą i kruczymi włosami południowca, ruchy miał spokojne i usta najczęściej milczące, niekiedy tylko pod czarnym wąsem uśmiechnięte ironicznie lub od znudzenia skrzywione. Ogniste

oko jego odrywało się często od rozglądanych miejsc i przedmiotów, a biegło tam, kędy przesunęła się suknia kobieca, szczególnie tam, gdzie u boku siwej kobiety w czarnej sukni ukazywała się piękna, biała dziewczyna, ze łzami nieruchomo stojącymi w błękitnych oczach.

Starszy rangą i wiekiem dowódca rotty pieszej, już może czterdziestoletni, dość wysoki, ale pleczysty i ciężki, o grubych członkach ciała i grubej, choć dość kształtnej twarzy, blondyn, z czołem bielszym od policzków ogorzałych i rumianych, objawiał w poruszeniach, mowie, w wydawanych rozkazach popędliwość tak gniewną i gorliwość tak głośną, ruchliwą, zawziętą, że zdawały się go one wprawiać w chwilowe obłądy. Były chwile, w których własnymi rękoma wyrывał ze sprzętów zamki, rękojeścią szabli ostukiwał podłogi i ściany, biegał, miotał się, krzyczał wydając coraz nowe i coraz surowsze rozkazy, a siwe źrenice jego pod rudawymi brwiami nabierały obłądnych niepokojów i połysków. Często też niespokojne te oczy z wyrazem niemych zapytań zatapiały się w obojętnej i niekiedy tylko ironicznej lub znudzonej twarzy młodszego towarzysza. Zdawały się one wtedy do twarzy tej wołać: „Czy widzisz? Czy spostrzegasz? Patrz! Czynię wszystko, czego potrzeba, więcej, niż potrzeba, więcej, niż ty czynisz... ja wierny służbie, gorliwy!”

Na dziedzińcu rozległ się, a raczej wśród gwaru obozującego wojska jak grzmot potoczył się ogromny wybuch krzyków i śmiechów. Młody gospodarz domu w okno spojrział i zwrócił się do oficerów.

— Panowie — rzekł — żołnierze kufy z wódką z gorzelnianego składu wytaczają...

— Tak sztoż? — z pogardliwym na mówiącego spojrzeniem ostro zapytał kozacki setnik.

Młodzieniec odpowiedział:

— Upiją się, a ludzie pijani palą i zabijają...

Zastanawiali się chwilę w milczeniu, po czym z ust Kozaka z przeciągłym syknieniem wypadło słowo:

— Pust'!

Ale tym razem na twarzy popędliwego i krzykliwego kapitana ukazał się wyraz wahania i niepewności. Do ucha prawie rzucił towarzyszowi pytanie:

— Jak myślicie?... Zabronić? Może być płocho... tam...

Palcem poruszył ku stronie, w której za oknami widniał las.

Kozak z uśmiechem na czerwonych ustach odrzucił:

— Pust'! pi-jut! Mołodcami stanut!

Za lasem słońce już wschodzić musiało, bo nad różaną wstęgą jutrzeńki wystrzeliło na pogodne niebo kilka smug złotego światła. Rewizja domu była skończona; pozostawał ogród rozległy, cienisty, w którym więcej jeszcze niż w ścianach domu rzeczy i ludzi ukrywać się mogło. Oficerowie ze znaczną liczbą żołnierzy obu broni udali się do ogrodu; w pokojach domu zapanowała swawola.

Z krzykami i śmiechami żołnierze wypróżniali wnętrza sprzętów i naczyń, zawartość ich ukrywając w odzieży lub wyrzucając przez okna z trzaskiem otwierane, na otaczające

dom trawy i kwiaty. Teraz prawie wszystkie te grube usta coś jadły albo piły i wszystkie ramiona były czynne, rozmachane, wzajem ze sobą mocujące się, wyprężone albo chwytne. W tupocie stóp ciężkich rozlegały się trzaski i brzęki rzeczy łamanych, rozbijanych, spomiędzy śmiechów i swawolnych krzyków wybuchały niecne słowa karczemnych przekleństw i łajdań.

Trwało to dość długo; po czym wewnątrz domu opustoszało, a w zamian na dziedzińcu wrzał coraz wrzaskliwszy i swobodniejszy gwar. Czuć było, że w mrowiącym się tam tłumie ludzi więzy zazwyczaj go opasujące rozluźniają się i pękać poczynają, że siły jakieś wewnętrzne, nieposkromione gaszą w nim pierwiastek człowieczy, a ze sfory spuszczaają zwierzęcy. Sił tych dwie było: pałący wnętrza klatek piersiowych trunek i budzący rozjątrzenie widok bliskiego lasu. Gdybyż to było pole otwarte, jasne, pospolite, wszystkim widzialne i znane! Ale ta ściana tajemnicza, ta zagadka, te nieznanne drogi wśród śmierci niewidzialnie zaczajonej w mrocznym cieniu... w gęstwinach dla wzroku nieprzebitych... Łaskotało to piersi i rozogniało mózgi zadymione oparami wódki...

Słońce wzeszło zza lasu i stanęło nad nim tarczą wypogodzoną, złotą.

Część dziedzińca zajmował natłok koni osiodłanych i zaprzężonych do wozów.

Gdzie indziej pod starymi lipami i topolami broń w kozły złożona tworzyła wały żelaznymi ostrzami najeżone. Promienie

słońca wesoło igrały na powierzchni bagnetów i figlarnie mrugały w oczach karabinowych luf.

Na trawnikach i na zdobiących je klombach kwiatowych blask słońca wybielał do śnieżystej białości koszule żołnierzy, którzy z mundurów rozebrani, mniejszymi lub większymi tłumikami leżeli dokoła kotłów z warzącą się strawą i dokoła kuf wysokich, napełnionych wódką. Kotły wybuchały gęstymi kłębami pary, a kufy wonią, która gasiła w powietrzu jaśminowe i rezedowe zapachy.

U stóp rozkwitłych krzaków jaśminowych i różanych tęczowymi blaskami iskrzyły się szczątki porozbijanych szkielec i kryształów. Mnóstwo rąk ciemnych niosło ku ustom pełne trunku naczynia, aby je potem rzucać na podeptane trawy i kwiaty, gdzie, subtelne i wyrzeźbione, rozsypywały się rojami brylantowych iskier.

Jeziorem wyiskrzonym, zbałwanionym, pełnym groźnych pomruków, nad którymi wzbijały się swawolne pogwizdy i pokrzyki, zdawał się być ten dziedziniec szeroko rozłożony przed domem niskim, długim, białym, ze wszystkimi drzwiami i oknami szeroko rozwartymi i ukazującymi wewnątrz zburzone, pełne żółtej kurzawy i nierozpoznawalnych form rzeczy zrujnowanych i zbitych.

Na ganku zaś...

O jeden ze słupów ganku oparty plecami stał młody gospodarz domu pośród żołnierzy, którzy trzymali w rękach strzelby z osadzonymi na nich bagnetami. Na warcie tu

postawieni, otoczyli tego, ku któremu pchały ich ciemne instynkty, przez moment niebezpieczeństwa obudzone i wzbudzone. Wypity trunek zaczerwienił ich policzki i rozżarzał źrenice pod groźnie marszczącymi się czołami. Z ust padały słowa gróźb, przekleństw, natrząsań się, łajañ, coraz głośniejsze, grubsze; i wśród coraz zapalczywszych rozmachów ramion coraz szybciej poruszały się w rękach bagnety.

Wysmukły młodzieniec stał wśród tej groźnej wrzawy nieruchomy, z bezbronnyimi ramionami skrzyżowanymi na wątlej piersi, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Trochę płowych włosów spadło mu na pobladłe czoło i kropla krwi wystąpiła na cienką wargę wśród męki przygryzioną. Na mękę tę składały się uczucia rozmaite. Oczy gorzały mu spod spuszczonej powiek gniewem tym krwawszym, że niemym, bo do milczenia zmuszonym przez własną niemoc i bezbronność. W zamian dwie wciąż ku niemu przeciskające się i wciąż przez żołnierzy odpychane kobiety były całe trwogą, tą trwogą szaloną, która oczy rozszerza, wszystką krew rzuca do serca, nogi wprawia w drżenie.

Gdy coraz zwiężało się i zciemniało otaczające młodzieńca koło żołnierzy i bagnatów, siwa kobieta w czarnej sukni z wysiłkiem nadludzkim przedarła się ku synowi i odpychana, ramionami objąć go nie mogąc, roztaczała je za nim jak drżące skrzydła, które to opadały, grubiańskim pchnięciem w dół strącane, to podnosiły się znowu, gdy usta targane konwulsją postrachu wyszeptywały jedno tylko, wciąż jedno słowo:

— Zmiłujcie się! Zmiłujcie się! Zmiłujcie się!

Nagle przeraźliwym głosem krzyknęła:

— Zabijają!

Bo kilka naraz bagnetów już ostrzami oparło się o pierś i skrzyżowane ramiona młodzieńca.

Lecz w tejże chwili piękna dziewczyna, w białej, porannej odzieży, wysoka i silna, przedarła się przez las uzbrojonych ramion i obu rękoma chwytając mordercze bronie, usiłowała od piersi brata je usuwać. Nie zdołałaby tego dokonać, lecz rozsypały się jej od głowy do kolan niedbale przedtem zwinięte włosy złote i z szerokich rękawów odzieży wychyliły się przedramiona jak alabaster białe.

Kilka grubych głosów śmiać się i wołać zaczęło:

— Ech, krasotka! Bielenkaja! Prelest' kakaja! Pagodi! Dostanie się i tobie! Atstupiś, a to pocełuju!

Wtedy stało się coś nadzwyczajnego. Siwa kobieta w czarnej sukni jak ptak zleciała z ganku i leciała przez dziedziniec ku ogrodowi, z rozpostartymi ramionami, z twarzą jak chusta białą, z jednostajnym wciąż, ustawicznym, coraz głośniejszym wołaniem:

— Gdzie kapitan? Gdzie kapitan! — Przed tym krzyczącym widmem rozstępowały się lub uchylały z drogi gromady pijanych ludzi, aż u wejścia do ogrodu przed dwoma nadchodzącymi oficerami stanęło i ze splecionymi u piersi rękoma powtarzać zaczęło po wiele razy, nieskończenie.

— Panie kapitanie! Moje dzieci! Moje dzieci!

Teraz i oni już z dala dostrzegli. Rozpalone od trunku i wzburzonych namiętności twarze żołnierzy, ostrza bagnatów ze wszech stron skierowane ku opartemu o słup ganku młodzieńcowi, piękna dziewczyna, cała w splątanych złotych włosach, szarpiąca się w ramionach rękawami munduru okrytych...

Dwaj różni ludzie, dwa różne wrażenia.

Po smagłej twarzy kozackiego setnika przeleciały błyskawice uśmiechów swawolnych i srogich, czerwone usta niedbale rzuciły do towarzysza słowa.

— Niczewo siebie barysznia! Stoit ruskago sałdata!

Ale dowódca roty pieszej słów tych nie słyszał.

Szerokimi ramionami jego wstrząsnęło drgnienie i krew falą gwałtowną rzuciła się mu do bielszego do policzków czoła.

— Ech, czort waźmi! Napiliś! Nieszczastje budiet! — wykrzyknął i z twarzą, na której gniew walczył z przestraczem, kroku przyśpieszył. Przyśpieszał go ciągle, aż bieć zaczął, biegnąc wpadł na wschody gankowe i zaryczał. Bo ryczenie to było raczej niż krzyk, grzmot to był głosu przeciągły i wyrzucający z piersi grad wyrazów obelżywych i groźących. Jedną ręką pałasz z pochwy do połowy wysuwając, drugą ku dziedzińcowi wypręzał.

— Precz! Precz! Precz! Do wozów i koni! Gotować się do odjazdu!

Minuta, dwie minuty i ganek opustoszał. Po twarzy kapitana ściekały strugi potu, ocierał je chustką, mrużąc jeszcze

nierozumiałe pojęcia i przekleństwa. Wzruszenie, którego doznał i wysiłek, którego dokonał, musiały być wielkie.

Siwa kobieta, kryjąca dotąd u czarnej swej sukni wzburzoną i rozplakaną twarz córki, zbliżyła się teraz do człowieka, który uratował życie i cześć jej dzieci. Drżąca jeszcze i jak papier blada szepnęła:

— Dziękuję.

On oburkliwie zamruczał:

— Nie za czto! Nie za czto! To moja powinność!

Potem ruchem porywczym zwrócił się do młodego gospodarza domu i głosem szorstkim, ale nie podniesionym, nie gniewnym, mówić zaczął:

— Oj, wy bezumcy! Co wy narobili! Ot nieszczęście! Ale sami... sami... sami wy winni... bezumcy wy! Ślepcy! Obłąkańcy!

Wstrzymał się, obejrzał za siebie i ujrawszy stojącego w pobliżu setnika Kozaków na niego i innych zawołał, aby żołnierze gotowali się do odjazdu, aby za minut dziesięć byli na wozach i na koniach, rozkazywał.

Setnik, niższy rangą, podniósł rękę do czoła, salutował, lecz w celu spełnienia rozkazu nie odszedł, kobieta zaś w czarnej sukni, już nieco uspokojona, znowu do kapitana przemówiła:

— Panie! Uratował pan dzieci moje... od rzeczy strasznych. Pragnę wiedzieć, komu wdzięczność jestem winna... jakie jest pana nazwisko?

Rzecz dziwna! Słowa te głosem łagodnym i od wzruszeń

doznanych drżącym wymówione jakby czymś twardym czy ostrym w kapitana ugodziły.

Znowu pod suknem munduru zatrzęśły się jego szerokie ramiona i znowu fala krwi aż po brzegi płowych włosów zalała mu czoło. Z ponurym błyskiem oczu, szorstko i szybko odrzucił.

— Na czto wam moja familja? Co wam do tego?

Setnik kozacki, zamiany słów tych słuchając, miał na ładnej, smagłej twarzy uśmiech zagadkowy i przez ogniste oczy jego, utkwione w twarzy kapitana, przemknął błysk zjadliwego szyderstwa. Potem znowu przed starszym rangą towarzyszem stanął w wyprostowanej postawie, z ręką do czoła podniesioną.

— Mam honor donieść, że żołnierze strawy jeszcze nie zjedli i że należy się im...

— Na konie wsiadać! Do wymarszu! Słuszat'! — krzyknął kapitan i setnik z ganku zawołał:

— Na koń! Marsz!

Kapitan na gospodarza domu ani na dwie stojące przy nim kobiety nie spojrzął, czapki jednak, posępnie w ziemię patrząc, uchylił, ciężkim krokiem z ganku zszedł i na przygotowanego mu konia wsiadłszy, z wolna pomiędzy ruszający się tłum żołnierzy wjechał.

W kilka minut potem dziedziniec był już pusty. Jeszcze jakiś zapóźniony wóz szybko pod stajniami przejechał, jeszcze za sztachetami, za budynkami przebiegły jedne, drugie straże kozackie z posterunków zjeżdżające, jeszcze od oddalającego się i sznurem na drodze wyciągniętego wojska dochodził poszum

głosów ludzkich, z turkotem wozów i tętentem nóg końskich zmieszany, ale dziedziniec pusty był i nie było w nim nikogo oprócz zdeptanych muraw, połamanych krzewów i kwiatów, błyszczących okruchów, porozbijanych naczyń, kałuż rozlanego trunku i podnoszących się nad tym wszystkim smrodliwych, ohydnych wyziewów.

Piękna dziewczyna z roztarganymi włosami i nabrzmiałą od płaczu twarzą rzuciła się ku matce, ręką na las wskazując.

— Mamciu! Oleś tam! I oni tam poszli! W ręce im wpadnie! Zabiorą... może zabijają!...

II

Aleksander Awicz miał lat dwadzieścia pięć, budowę ciała kształtną i silną, wyraziste rysy twarzy i wśród smagłej cery ciemnego blondyna piękne, szafirowe oczy.

Przed rokiem wrócił ze stolicy państwa, gdzie ukończył jakieś nauki wyższe, do swej niedużej, lecz ładnie pomiędzy las i jezioro rzuconej wsi rodzinnej, w której zamieszkał.

W rodzinie i szerokiej okolicy nazywano go wesołym Olesiem.

Słusznie go tak nazywano; bo i teraz nawet, gdy obóz powstańców opuścił, a w drodze, którą miał przed sobą, spotkać go mogły niebezpieczeństwa poważne, na twarzy jego ocienionej daszkiem małej czapki malowało się gorące, wezbrane mową obfitą i uśmiechem wesołym wybuchnąć gotowe życie.

Rad był, że pomyślnie i w porę spełnił włożone na niego zadanie; rad był z tego, co widział i słyszał w obozie; z upału uczuć, który rozlał się po świecie i gorącym strumieniem wlewał się mu do piersi, z różnorodnych nadziei, które w tej piersi wygrywały radosne hejnały, z tej pięknej dziewczyny, która dziś o dnia brzasku żegnała go z trwogą serdeczną, ze swoich lat dwudziestu pięciu, z wielkiego koła tworów świeżych, wonnych, cichych, które go otaczało, gdy na swym ulubionym koniu wąską drożyną leśną jechał.

Są natury ludzkie podobne do wód stojących, które wszystko,

co je otacza, odbijają w postaciach sennych, mdłych, nudnych, martwych i takie, w których jak w wartkich potokach świat rozłamuje się na tysiąc świetlistych, barwistych obrazów, na tysiąc ognisk tryskających promieniami i tęczami.

On miał naturę wartkiego potoku; świat tysiącem czarodziejskich widzeń odbijał się w jego silnej młodości i wrażliwym sercu, krzesząc w nich wesołość. Widzeń rozwiać i wesołości zgasić życie czasu jeszcze nie miało.

Las w to letnie przedpołudnie cichy był i chodziły po nim tylko szmery lekkich wiatrów. Drożyna w długich zakrętach biegła pomiędzy leszczynami, spośród których ciekawie wyglądały białe i żółte oczy kwiatów. O giętkie pręty leszczyny i jej chłodne liście ocierały się boki konia, który czasem wesoło parskał. Nad leszczynami daleko wzwyż i w głąb wzbijały się iglaste i liściaste drzewa. Żywica pachniała, ptaki szczebiotały pośród drzew.

Po głowie jeźdźca przewijał się różaniec myśli, którego każdy paciorek miał inną barwę i z coraz innej strony trącał o serce.

Dobrze tam dzieje się w obozie. Zuchy chłopcy! Jak oni dzielnie te wielkie trudy i niewygody znoszą, jak nie żałują niczego, co porzucili, nie tracą zapału i odwagi! Tęgo też w rękę trzyma ich naczelnik! Ciągłe musztry, ćwiczenia. I — karność! Przecież tam już dla kogoś nieposłusznego dół byli wykopali i rozstrzelany miał zostać... tylko mu inni wyprosili życie. Co za człowiek! Jak stal hartowny, a czasem tkliwy jak kobieta. Za sprawne przywiezienie wieści dziękował mu dziś oczyma więcej

niż ustami i można było wtedy przez te oczy zobaczyć, że dusza jego stoi w ogniu męki...

Cóż? Nie dziw! Pułkownik wojsk regularnych w rzemiośle wojennym uczony wie zapewne, jak będzie trudno. Partyzantka... No, cóż robić! Tak krawiec kraje, jak materiału staje...

Tu drożyna, którą jechał, w gąszcze zarośli wpadła i przepadła. Wstrzymał konia, rozejrzał się dokoła. Las, las i tylko las. A gdzież ten moczar, nad który miał przyjechać, aby okrążywszy go znaleźć się na drodze szerokim i trudnym objazdem prowadzącej ku dworowi? Czy tylko po opuszczeniu obozu nie wziął się był na prawo zamiast na lewo? Głowę miał tak pełną tego, co w obozie widział i słyszał, że kto wie, czy nie popełnił omyłki kapitalnej? Trzeba zorientować się, pomyśleć...

Stanął na strzemionach, aby dalej wzrokiem sięgnąć. Jakies tam w oddaleniu niedużym prześwietlenie pomiędzy drzewami, które rozstępują się przed jakąś smugą żółtozieloną. Może to właśnie ta łąka błotnista... ten moczarek?

Z wolna, wśród wysokich sosen, po sprężystych mchach jechał ku prześwietlonemu błękitem nieba punktowi lasu i rozwinął się w nim znowu różaniec myśli.

Gorzka szkoda, że nie jest tam z nimi w obozie i czasem nawet aż wstyd. Ale nie jego w tym wola. Taki był rozkaz. Trochę ludzi młodych i oddanych musiało zostać na swobodzie, aby partii służyć w inny sposób. Ale i na niego pora przyjdzie... Gdy partia przechodzić będzie w okolice inne, wtedy... Czy

tylko przechodzić będzie? Czy dotrwa? Czy się nie rozproszy? Naturalnie, że prędzej lub później musi rozproszyć się, lecz zgromadzi się znowu gdzie indziej i wtedy... Ale co dziś będzie? Co dziś się stanie? Dziś... za godzinę... za dwie... Gdy wyjeżdżał z obozu, wrzały tam przygotowania. Poleje się krew... padną trupy... czyje? Kto z przyjaciół, krewnych, towarzyszy jego dożyje jutra? Jaki będzie wieczór dnia dzisiejszego, tego pięknego dnia? O, Boże! Ty stwarzasz takie jak dzisiejszy dni piękne, całe błękitne i złote, a ludzie rzucają na nie czerwone plamy!

Smutek jak ciężki kamień spadł mu na serce, w którym zakipiał niepokój o wynik bliskiej bitwy zrazu, a potem o daleki koniec tego wszystkiego... Młoda wiara w ostateczne zwycięstwo sprawy, silna wiara w powinność, która, bądź co bądź, pełnioną być musi, jak kolumny złotych domów przez podmuch wiatru targnięte, zachwiały się w podmuchu wątpienia, które ostrzem strasznie bolącym przeszło serce.

Życie nad gaszeniem wesołości młodzieńczej pracować zaczynało...

Ale już przybył tam, dokąd pomimo zadumy ciągle kierował konia i stanął u brzegu niedużej łączki leśnej. Nie jest ona tym mokradłem, które spodziewał się tu znaleźć. Gdzie tam! Sucha i kwiecista, iskrzy się od tysięcy żółtych jaskrów, a brzegiem jej biegają białe szlaki poziomkowego kwiecia. Wybiega też z niej w głąb lasu parę drożyn wąskich i cienistych.

Ze zniecierpliwieniem dłonią w czoło się uderzył. Głupstwo

stało się kapitalne! Żle pojechał! Od razu pewno po opuszczeniu obozu zmylił drogę.

Rozgniewany na samego siebie zastanawiał się, rozglądał po horyzoncie. Jedna z dwóch dróg do lasu z łączki wbiegających bardziej od drugiej zwracała się w kierunku dworu. Wybrał ją i pojechał znowu wąskim pasem zielonym, pośród gałęzi drzew, które co chwilę odbijały się mu o pierś i głowę, smagając boki jego konia. Rozłożyste, pełne wielkiego liścia ramiona grabów, klonów, dębów zarzucały mu przed wzrokiem zasłony nieprzeniknione, tak że niekiedy o parę kroków przed sobą nic widzieć nie mógł. Z dołu drogi za to, spomiędzy traw, które ją porastały, spomiędzy przedzierających się przez gałęzie smug słonecznych uśmiechały się ku niemu poziomki dojrzałe, bujne, lśniące wilgotnym połyskiem jak krople czerwonej rosy. Zapach bił od nich świeży jak poranek, dziki jak ten las.

Hej, hej, żeby tu była teraz jego Tosia, toż by zbierała te poziomki, toż by to była radość! Jak żywa stanęła mu przed wyobraźnią dziewczyna kochana, cała w śmiechu i słońcu chyląca się nad poziomkami, i znowu uśmiech promienny rozlał się mu po twarzy.

Gdyby tak teraz, w morzu zieleni, w tej ciszy i w tej samotnej dziczyźnie znaleźć się z nią razem, we dwoje... bez tego niepokoju, który jak świder wkręca się w serce, bo...

Co tam z nią dzieje się teraz, z nimi wszystkimi, z tym dworem, w którym dzieckiem, pacholęciem, młodzieńcem przeżył tyle godzin szczęśliwych? Gdy odjeżdżał, tamci

nadjeżdżali. Co uczynili? Czegóż uczynić nie mogli? W takich jak ten momentach złe sny stają się jawą, baśnie prawdą, niepodobieństwa rzeczywistością. Co się tam dzieje teraz? Może płomienie... może kajdany... może trupy... Nie zdarzało się to gdzie indziej... niedaleko, niedawno?

Pochylił nisko twarz i wpadł w otchłań zadumy dręczącej jak zły sen... Piękny koń gniady stapał pod nim z wolna, równo, cicho po miękkich trawach. Dłoń jeźdźca głaskała go niekiedy po lśniącym, zaokrąglonym grzbiecie, wtedy parskał wesoło, zgrabną głowę jakby w znak przyjacielskiego porozumienia podnosząc, to opuszczając i znać było, że pomiędzy tym człowiekiem a tym zwierzęciem panowała zażyła przyjaźń...

Wtem do słuchu jeźdźca przedarło się coś niewyraźnego, lecz wyraźnie obcego leśnym szmerom i odgłosom. Jakby turkot słaby, jakby głuchy w oddaleniu tętent. Wiatr ani drzewa tak nie szumią. Nie był to żaden z głosów lasu... Minuta, dwie i umilkło to, ustało. Ptaki w zamian, nie wiedzieć dlaczego, zaświergotały nad wąską drogą chórem prawie ogłuszającym, lecz niepodobna było zgadnąć, czy rozweselonym lub strwożonym.

Zatrzymał konia i począł wsłuchiwać się w ciszę. Nic już w powietrzu nie było oprócz lekkich szmerów wiatru po gęstwinach i tego szczebiotu ptactwa, który uciszać się począł.

Może to oni kędyś niedaleko stąd przechodzą, przejeżdżają?

Po raz pierwszy uderzyła mu do głowy myśl, że może się z nimi spotkać. Uderzenie to było zrazu podobnym do wrzątku, który by człowieka od stóp do głowy oblał. Ale prędko ostygając

zaczęło. Przymuszczenie nie zdawało się bardzo prawdopodobne, bo las był ogromny i tamta droga musiała znajdować się stąd daleko. A jeżeli... Cóż? Gdzie drzewa rąbią, tam trzaski lecą! Na wojnie jak na wojnie! Uczynił to, co do niego należało i jedno tylko głupstwo popełnił, drogę w lesie zmylił... Ale przecież i koń mający cztery nogi potyka się czasem; cóż więc on, który ma jedną tylko głowę i w dodatku aż gotującą się od różnych myśli i niepokojów!

Jechał dalej i myślał, co w wypadku spotkania uczyni. No, przede wszystkim poprosi pięknie Pioruna, ażeby go jak na skrzydłach wiatru odniósł jak najdalej... jeżeli będzie można, a jeżeli nie będzie można, to... to powie... cóż powie? Na polowanie wyjechał... Jak to? Bez strzelby i nijakiej broni? Więc na przejażdżkę... niby tak sobie... spaceruje konno po lesie, dla przyjemności czy, jak mówi stary wuj Klemens, dla „mocjonu”...

Uśmiechnął się na wspomnienie o poczciwym wuju, trochę też z pomysłu konnego dla przyjemności spacerowania po lesie w tej erze dziejów lasu, ale zaraz ogarnęło go przykre uczucie niesmaku. Kłamać, zapierać się, wykrętów używać! Wstrętne! I najlepiej nie myśleć o tym, co się prawdopodobnie nie stanie.

Koniec drożyny, którą jedzie, już widać. Dotyka, jak się zdaje, koniec ten jakiejś szerokiej drogi, której jednak dostrzec niepodobna. I nic wcale o parę kroków naprzód wyraźnie dostrzec niepodobna zza tych zasłon gałęzistych, co chwilę nad drożyną opadających.

Znowu odgłos jakiś, obcy odgłosom lasu. Jakby w

pobliżu powolne stąpanie konia, a dalej, dalej, jakby poszum przyciszony, ale nie drzew i nie wiatru...

Hej! Źle z nami! Tam ludzie są! Ale jacy? Kto? No, cóż robić? Raz kozie śmierć!

Piękny gniadosz szeroko piersią roztrącił, rozerwał gęstą upłość giętkich gałęzi grabowych, za nimi ukazała się droga szeroka i jeździec wychylający się z wąskiej drożyny oko w oko spotkał się z drugim jeźdźcem, który nadszedł drogą szeroką i szybkim, wprawnym ruchem konia swego przodem ku niemu obrócił.

Spotkanie to było tak nagłe i niespodziewane, że oba konie jak wryte stanęły i obaj jeźdźcy wzajem w sobie zatopili wzroki zmieszane, lecz niemniej przenikliwe i bystre.

Człowiek pleczysty, na twarzy rumiany, w mundurze oficera rosyjskiego, bystro, podejrzliwie, posępnie patrzył spod brwi zjezonych na młodzieńca, który w postawie wyprostowanej, siedząc na pięknym koniu, zatapiał w nim roziskrzona oczy. Dwa rozłożyste klony wznosiły nad ich głowami głęboką arkadę z prześwietlonego przez słońce liścia.

Milczenie trwało krótko: sekundy; po czym basowy i oburkliwy głos oficera zapytał:

— Kto wy takoj?

Z wielkim spokojem młody jeździec imię i nazwisko swoje wymówił.

— Atkuda?

Wymienił nazwę rodzinnej wsi swojej, niedalekiej stąd, w

której przebywał stale...

Siwe oczy oficera roztropnym, badawczym spojrzeniem ogarniały go całego, od stóp do głowy. Nie mógł mylić się; w zwykłym, codziennym ubraniu, bez broni, bez śladów zmęczenia w powierzchowności własnej i konia, na którym jechał, nie mógł to być powstaniec. Więc czegoż w okolicznościach... takich włóczy się po lesie? Ten jakiś dziwny gniew, posępny i nieustanny, który zdawał się być stałą jego cechą, wezbrał mu w oczach i na twarzy.

— Czego szlajecieś po lesie? Rozum postradaliście, czy nigdyście go nie mieli? Ej, ty, Boże mój, kakije bezmózgłyje ludzi!

A potem z wybuchem głosu i rozkazującym gestem ramienia.

— Ubirajsia k' czortu! Do domu jedź! Skarej! skarej!

Młody jeździec ukłonem grzecznym czapki uchylił, po czym konia na tę drożynę, która w to miejsce przywiodła go, zawrócił.

Oj, ty, Piorunie mój kochany, przenieśże ty mnie przez piekielne drogi! Bo oto na szerokiej drodze, w pewnym jeszcze oddaleniu, lecz już bliżej niż przedtem tętent koni słychać, turkot wozów...

Posłuszny głosowi i dotknięciu pana swego poniósł go Piorun po drożynie leśnej, przez zasłony gałęziste, które za nim rozwierały się, to zamykały i niósł coraz prędzej, ale krótko... bardzo krótko. Tuż, tuż w pobliżu rozległ się tętent biegnących koni, wśród zieleni liścia zamigotały czerwone ozdoby ubrań i długie piki zarysowały czarne linie. Kozacy przedzierali się przez

las ku dostrzeżonemu jeźdźcowi, drogę mu zajeżdżając. Na czele ich pędził setnik, wysmukły, zgrabny, piękny w czerwonych pasach ubrania, z czarnymi oczyma rozgorzałymi wśród śniadej twarzy...

Jakaż słuszość tkwiła w dwa razy powtórzonym wykrzyku oficera: Skarej! Skarej! Może gdy go wydawał, przemknęła mu przez głowę myśl o tamtych jak ptaki chyżych. Ale już czasu na pośpiech nie było.

— Stoj! Stoj! — rozległo się i echami rozbiegło się po cichym zielonym lesie. Ze wszech stron otoczony stanąć musiał.

Oficer pleczysty i nieco na swym ciężkim koniu przygarbiony ku najeżonej pikami grupie jeźdźców powoli nadjeżdżał.

Teraz setnik kozacki zapytywał:

— Kto wy takoj?

Czy brzmienie głosu, w którym obok srogości czuć było wzgardliwą drwinę, czy namiętne oczy południowca, w których błyskała iskra złowroga — coś w tym człowieku i coś w tym pytaniu targnęło dumę pojmanego młodzieńca i dmuchnęło na żarzącą się w nim iskrę gniewu. Głosem spokojnym, lecz z okiem rozplómieniem odpowiedział:

— Jestem człowiek!

Kozak z uśmiechem, dzieląc sylaby wyrazów, zażartował:

— Cze-ła-wiek! Nie małpa? Cha-ra-szo! Ale dokąd jedzicie?

— Przed siebie... w świat.

— W świat! Charaszo! Ale skąd?

— Ze świata.

Dwa odmienne typy, dwie rasy, dwie różne, lecz równe sobie młodzieńcze urody. U obu wzrastało, coraz goręcej kipiało to, co starzy Latyni wyrazili w przysłowiu: homo homini lupus est. Oczy ich, jak sztyletami pojedynkujące się spojrzzeniami, nabierały połysków wilczych.

— Ze świata? Nie; nie ze świata, ale od mia-tież-nikow... od mia-tieżni-kow, do których jeździliście z ostrzeżeniem...

Mówił z wolna, dzielił sylaby wyrazów, słowa syczały mu w ustach, których uśmiech urągał, wyzywał.

— Tak — odpowiedział tamten — to prawda. Byłem w obozie powstańców i stamtąd jadę.

Słowa te wypadły mu z piersi od burzy uczuć wzdętej; szafirowe czy, roziskrzzone, patrzyły prosto w stronę przeciwnika.

W teże chwili zbliżył się ku niemu dowódca rotty pieszej i ze zjeżonymi brwiami przemówił:

— Jesteście aresztowani! Zsiądźcie z konia!

Miał na rozkaz ich zsiąść z konia! O! Gdyby broń w rękę lub pod ręką, toby w nich naprzód... potem w siebie... Nie miał broni... i był jeńcem.

Kiedy zeskoczywszy z konia gestem pożegnalnym kładł dłoni na jego szyję, usłyszał słowa powoli i ze świstem z ust kozackiego setnika wychodzące.

— Cha-raszo! Znacie drogę do mia-tież-nikow, to i nam ją pokażecie. Usiądźcie na pierwszym wozie i drogę pokazujcie!

Jeniec odwrócił się i znowu w twarzy Kozaka wzrok zatopił.

Nie wyglądał teraz wcale na wesołego Olesia. Błady jak płótno, czoło miał zmarszczone i wargi drżące. Tymi drżącymi, zbladłymi wargami, głosem od wzburzenia więznącym w gardle wymówił:

— Zabić mnie możecie, ale nie macie prawa lżyć mię przypuszczeniem, że mogę zostać zdrajcą.

Czy złudzenie to było, czy rzeczywiście usłyszał, że kapitan roty pieszej cicho pod najeżonym wąsem mruknął:

— Maładiec!

A na czarne oczy setnika kozackiego z wolna ciemne powieki opadły i z ustami, których piękna linia wykrzywiła się w uśmiech niby drwiący, niby zmieszany, chyżego konia swego zawróciwszy, pomknął na nim szeroką drogą ku nadciągającym wozom.

Na tę drogę wszedł również, z konia zsiadłszy, pleczysty kapitan i obok jeńca, przed żołnierzami, którzy dwa konie prowadzili postępując, wciąż ku niemu twarz obracał. Nie mówił nic, tylko co chwilę na niego spoglądał, odwracał się i znowu spoglądał; brwi i wąsy jego stawały się mniej najeżone, zarys ust mniej twardy...

I nie było wcale złudzeniem to, co spod rudawych wąsów cichym pomrukiem wyszło.

— Ach, bezumcy... miecztatieli... nieszczęstnyja żertwy!...

Doszli do wyciągniętego na drodze taboru wozów. Kapitan oczyma po wozach powiódł i jeden z nich wskazał jeńcowi. Siedziało na nim paru żołnierzy.

Twarz swą grubą i rumianą, od upału spotniałą nad jeńcem pochylając szepnął:

— Osteregajcieś! Nie razdrażajcie ich... bo... może być bieda!

Ostatnie słowa wymówił po polsku.

III

Drogą dość szeroką, lecz najeżoną korzeniami drzew starych, tworzącymi sieć grubych i twardych garbów, powoli i ciężko posuwał się tabor złożony z kilkadziesiątu wozów napełnionych żołnierzami. Przed każdym z żołnierzy sterczał na pogotowiu w rękach trzymany karabin z wprawionym weń bagnetem. Na pierwszym z wozów jechali dwaj chłopcy ponurzy i milczący; przewodnicy po tym ogromnym, pełnym dróg, drożyn, zarośli, ciemności, labiryncie leśnym. Postrach, zapłata hojna, może instynkty jakieś nienawistne czy zawistne, w momentach burz budzące się jak wichry, umieściły ich na tym przewodniczącym wozie.

Z przodu, z tyłu, po bokach jechali Kozacy pikami strącając z drzew deszcze liści i niekiedy wbiegając do lasu, gdzie kopyta koni ich krzesaly z suchych mchów i gałęzi grady krótkich trzasków, a ozdoby ubrań migotały wśród zieleni jak biegające po niej czerwone plamy.

Znad wozów razem z turkotem kół głucho i często o korzenie drzew stukających podnosił się przyciszony pogwar głosów ludzkich. Czy przyciszał go rozkaz przez dowódcę wydany lub tłumiały pracujące w tych licznych piersiach niepewności i grozy tego lasu? Trudno wiedzieć, ale podobne to było do groźnego i zarazem trwożnego pomruku zwierza, który idzie na łup i rozgląda się, czy nie zobaczy myśliwców. Myśliwcy ukrywać się

tu mogli za każdym zakrętem drogi, za każdą firanką zarośli, w każdym z niezliczonych cieniów, które wśród drzew wysokich stały jak czarne olbrzymy, gdzieniegdzie złotymi strzałami od słońca przebijane.

Las nabierał coraz wyższego, ściślejszego podszycia i listowia, droga z nieznacznym skłonem w dół opadająca stawała się wilgotna. Zniknęła z jej powierzchni garbata sieć korzeni, ukazały się natomiast wyłobienia w różnych kierunkach poczynione przez wody, które wiosną musiały tu rozlewać się szeroko, a teraz niedobrze jeszcze przez majowe ciepła osuszone gdzieniegdzie szklily się w długich bruzdach i dość głębokich wądołach.

Wyraźnym było zbliżanie się do gruntów niskich, mokrych, które mniej niż inne sprzyjają roślinności wzwyż bujającej, lecz za to z hojnością ogromną udzielają życia jej tworam niższego wzrostu. Drzewa stawały się rzadsze, niższe, cieńsze, pokrzywione, sękami osiadłe, czernią jakąś powleczone, natomiast z obu stron drogi powstawały nie już jak gdzie indziej zarośla przezrocyste, na wyłomy porozrywane, lecz nieprzerwane i gęste natłoki krzaków i karłowatych czy niedorosłych drzewin.

Wóz przewodniczący skręcił w bok i opuszczając szeroką drogę wjechał na groblę wąską, z dwu stron głębokimi rowami obrzeżoną. W rowach stała woda biaława, zielonawą pleśnią gdzieniegdzie powleczone; za rowami wznosiły się ściany zarośli, u góry w niezliczone nierówności postrzępione, lecz od dołu

przedstawiające powierzchnię ściśliwą, gęsto z prętów, gałęzi i niezliczonego listowia zbitą i splątana.

Były to nieprzejrzone szeregi i tłumy leszczyn, malin, kalin, jeżyn, małych wierzbin, olszyn i osin, bzów dzikich, łóz, sitowia, olbrzymich ajerów i kosaćców, jakichś traw wysokich i rozczochranych, jakichś pasożytnych palców i wieńców, które to wszystko oplatały, a z tych powikłań i uplotów, z całej tej gęstwiny linii i kształtów o tysiącnych kierunkach i formach, w górze i w dole wychylały się białe baldachy bzów dzikich, liliowe kielichy kosaćców, żółtawe gwiazdy jakichś roślin bagiennych, mętnością barwy oznajmujące zbliżające się królestwo martwych wód i grząskich topielisk. Słońce rzucało na te ściany zielone i ukwiecone pozłotę dla oczu przykrą i olśniewającą, wśród której wąski szlak grobli przypominał czarnego węża, który by na słońcu wygrzewał pogarbioną i gdzieniegdzie mętnie połyskującą skórę. Mętnymi połyskami świeciła woda stojąca w wyłobieniach i koleinach grobli.

Gdy wozy tabor składające wjechały na groblę, unoszący się nad nimi pogwar głosów umilkł i słychać było tylko nie turkot, ale szum kół bardzo powoli przesuwających się po rozmiękłym gruncie, czasem kłapanie wody pod kopytami koni, czasem na jednym z wozów wykrzyk pijany, lecz krótki. Z głów żołnierzy nie ulotniły się jeszcze całkowicie opary wódki w godzinach porannych z kuf owych we dworze wypitej, lecz miejsce, w którym się znaleźli, głuchym niepokojem czy niewyraźnym przecuciem pozamykało im usta i w zamian

szeroko pootwierało oczy.

Kapitan wyjechał na czoło taboru i słysząc było, jak z ponurymi przewodnikami zamieniał słowa groźbą brzmiące, to znowu w znaki zapytań zagięte. Oni odpowiadali:

— Inaczej jechać nie można. Innej drogi do nich nie ma. Jest kędyś inna, ale jeszcze gorsza i... dalsza...

Na wielkim, ciężkim koniu, sam ciężki i ponury, powracał oficer wzdłuż taboru i wzrok jego upadł na siedzącego wśród żołnierzy młodego jeńca. Zawrócił konia i obok wozu tego jechać zaczął.

Wtem stało się coś tak przeraźliwego jak piorun lub nagła śmierć. We wznoszących się po obu stronach grobli ścianach zielonych rozległ się grzmot wystrzałów i wypadły z nich roje ognistych błyskawic. Spomiędzy jadących na czele Kozaków paru spadło z koni, pod paru innymi konie upadły, na wozach też widać było ciężkie postacie, walące się na wznak i broń z rąk wypuszczające.

Zasadzka; jeden z najstraszniejszych środków przysługujących wojnom partyzanckim.

Na wąskiej grobli powstał ruch pełen zamętu i podniosła się wrzawa pełna krzyków.

Żołnierze zeskakiwali z wozów i bez ładu, zarówno jak bez widzialnego celu, strzelali do zarośli; przestraszone konie skręcały wozy, które stając w poprzek drogi lub w połowie wywracając się do rowów, czyniły niemożliwym jakiegokolwiek formowanie się żołnierzy w szeregi lub oddziały; gibcy Kozacy

na chyżych swych koniach przeskakiwali rowy i usiłowali wdzierać się w gęstwiny, które stawiały opór i z których co minutę nowym grzmotem i z nowymi błyskawicami wypadał rój pocisków; ciała ludzkie pociskami dosięgnięte padały na rozmokłą ziemię grobli, na koła i brzegi wozów, pod kopyta rozszalałych koni, do wody, napełniającej rowy. Powietrze napełniło się wrzawą ludzką i zwierzęcą, gromami i grzmotami strzałów, kłębami prochowego dymu.

Wśród piekielnego tego zgiełku i zamętu kapitan z wielką przytomnością i odwagą głosem i ruchami usiłował w tę dziwną walkę wlać ducha porządku i jedności. Ale potężny głos jego, wyrzucający z szerokiej piersi słowa komendy, zatapiał się we wrzawie, a formowane przez niego szeregi i oddziały wnet chwiały się i rozpraszały, rażone z przodu i z tyłu, zza obu ścian zarośli ukrywających wroga. Zziajany koń jego za wielki był i za ciężki do obracania się na przestrzeni wąskiej, wśród bezładnego ścisku ludzi i rzeczy. Parę razy tylne nogi jego ześliznęły się do rowu; parę razy stanął dębem przed nagle upadającym trupem końskim czy ludzkim. Po twarzy kapitana lały się strugi potu, w oczach świeciła rozpacz, kule jak gwizdzące pszczoły latały dokoła głowy jego i ramion. Jedna rozdarła mu rękaw munduru i drasnąć musiała ramię, lecz on nie zdawał się czuć tego ani spostrzegać; z szybkością, na jaką tylko liczne przeszkody pozwalały, pędził ku garści żołnierzy, która plecami odwróciwszy się do pola bitwy, poczyniała biec ku początkowi grobli. Zabięgl jej drogę, głosem gromił i błagał, ruchami

pałasza zachęcał i napędzał, aż powróciła, aby zwiększyć na grobli zamęt ciał i huk wystrzałów, ku niewidzialnym celom kierowanych.

Część Kozaków, pod wodzą setnika przeskoczywszy rowy, zdołała przedrzeć się w zarośla i słysząc tam było wściekłe krzyki, zgęszczone strzały, z trzaskiem pękające pod naporem końskich piersi gałęzie drzewne czy pod końskimi kopytami kości ludzkie.

Nie trwało to wszystko jeszcze nad ćwierć godziny, a już wodę w rowach stojącą i trawę nad rowami tu i ówdzie zabarwiała krwawa czerwonosc.

Aleksander stał na wozie, u którego dyszla z szyją ruchem męczeńskim wykręconą leżał zabity koń. Bezbronne ręce zaciskał około jakichś sterczących na wozie przedmiotów i cały naprzód podany, wzrok szeroko rozwartych oczu wyteżał ku ziejącym kulami i ogniem zarośłom. Zdawać się mogło, że dusza z niego wyszła i znajdowała się po tamtej stronie zielonej ściany, pomiędzy tymi, których kule lada chwilę zadać mu mogły śmierć. Nie było takiej sekundy, w której by nie mógł zginąć i... myśl okropna! — zginąć z rąk, które kochał. Czy myśl ta przechodziła mu przez głowę, dokoła której ze świstem i gwizdem przelatywały kule? Czy może nie miał w głowie żadnej wyraźnej myśli oprócz tej jednej, palącej, że nie jest, że nie może być tam... z nimi? Sam nigdy w przyszłości sprawy przed sobą zdać nie mógł. Ale co chwila pot zimny oblewał mu czoło i oddech zatrzymywał się w piersi w oczekiwaniu czegoś

niwyrażnego, niepojętego... wyjścia ich może zza tej ściany, która ich zasłaniała, skrzydeł może, które by jego do nich przez tę ścianę przeniosły, śmierci może. Nagle zadrżał od stóp do głowy i trzęsącymi się wargami krzyknął:

— Apolek!

Z obłąkanymi prawie pobłyskami oczu wpatrywał się w młodzieńca, który ruchem gibkim wypadł spomiędzy zarośli i u stóp ich na jedno kolano przykląkłszy, ze strzelbą do oka przyłożoną strzelać począł. Zuchwały ten rycerzyk, w zapale młodzieńczym nie dość zapewne rozkazom wodza posłuszny, zapragnął może spotkać się oko w oko z tymi, z którymi walczył, dokonać wiele, dokazać więcej od innych. Wyskoczył zza osłony, na jedno kolano ukląkł, strzelał... karmazynowa konfederatka zsuwała się mu z ciemnych włosów odsłaniając gładkie i ogorzałe czoło, oczy nieco zmrużone napełniała uwaga wyteżona, a na usta pod drobnym wąsem wystrzeliwał uśmiech niemal chłopięcej przekory. Nagle zawołał:

— Oleś! A ty tu skąd?

Dostrzegł stojącego na wozie jeńca, lecz natychmiast o nim zapomniał, znowu ze strzelbą do oka przyłożoną mierzył, strzelał, aż stała się z nim rzecz jak piorun szybka i śmiertelna.

Z zarośli wypadł setnik kozacki na koniu, z którego uda krew ciekła i którego już wspinał, aby rów z powrotem na groble przeskoczyć, gdy zuchwały rycerzyk w karmazynowej czapce zmierzył do niego, wystrzelił i — Kozak, w pierś kulą ugodzony, spadł z konia, rozciągnął się u stóp zarośli. A w chwilę potem tak

krótką, że w niej powieka ludzka zaledwie mrugnąć by zdołała, z grobli na drugą stronę rowu przeleciała kula inna i utkwiała w czole rycerzyka, który padł także...

Wówczas Aleksander uczuł na twarzy gorący oddech konia, a tuż przy uchu jego zaszemrał ciężki szept kapitana:

— Kto eto? Kto eto?

Stał na koniu blady jak kreda i palcem na zabitego powstańca wskazując, z obłąkanymi prawie oczyma młodego jeńca zapytywał:

— Apolek? Razwie eto Apolek? Apolek?

— Tak, Apolek.

Dwie piersi: oficera i jeńca szybko, z głuchymi jękami dyszały.

— Karłowickij?

— Karłowicki.

— Boh moj! — krzyknął kapitan i był to krzyk przerażenia, bólu, nie wiedzieć jeszcze jakiego uczucia, ale które piersi rozrywało.

U stóp zarośli, u brzegu mętnie połyskującej wody, leżeli niedaleko siebie na zielonej trawie rozciągnięci dwaj urodziwi młodzieńcy, jeden czerwonym, drugi czarnym pasem przepasani jeden z rozdartą i skrwawioną odzieżą na piersi, drugi z czarną i sznurek krwi sączącą plamą pośród czoła. Głowy ich okryte były czarnymi i ciemnymi włosy, a czapki daleko na zieloną trawę odrzucone dwoma różnymi odcieniami czerwoności iskrzyły się w słonecznym świetle. I przeglądało się iskrą nieruchomą światło

słoneczne w szkle martwych ich oczu...

IV

Od dnia klęski, którą w lasach poleskich poniósł oddział pieszego i konnego wojska, od dnia, w którym wspólnie z kilku towarzyszami poległ w bitwie Apolek Karłowicki, a Aleksander Awicz do więzienia znajdującego się w mieście najbliższym przez resztkę pobitego wojska odwieziony został, kilka tygodni upłynęło.

Na świecie był już lipiec upalny i duszny. Na szerokie pola kładły się pod ścinającym je sierpem obfite zboża i płynęły szelesty złotej słomy. W rzekach, jeziorach, strumieniach leśnych i brodach łąkowych wysychały wody; nad złotymi polami, nad żółknącymi w upale łąkami, nad lasami stojącymi w kamiennych ciszach, szerokie koła pod wyiskrzonym sklepieniem nieba zataczały uczące się latać bociany.

Trzypiętrowy gmach więzienny wznosił się nad niskimi domkami miasteczka, jak wszystkie więzienne gmachy ponury, nagi, szerniały, zamknięty. U dołu jego, na dziedzińcach i na piętrach niższych rozlegały się czasem hałasy, krzyki, rozmowy, szczęki broni, lecz okna rzędu najwyższego, pod czerwonymi gzymsami dachu zdawały się przez otwory krat żelaznych oddychać milczeniem i samotnością.

Im wyżej, tym samotniej. Nie dochodziły tam z dziedzińców i pięter niższych żadne głosy ludzkie i nie dochodził mały, uliczny gwar miasteczka. Czasem tylko słyhać było krótkie rozmowy

zmieniających się szyldwachów, wlokące się kroki dozorców lub zgrzyty kluczy obracanych w zamkach otwieranych i zamykanych cel. Im wyżej, tym piękniej. Z tych okien wysoko wzbitych nad ziemię wzrok mógł dostrzegać trochę złotego pola, które miasteczko otaczało, pasek lasu za polem i w południe czarne sylwetki bocianów zataczające pod niebieskim błękitem szerokie koła. Bociany z oddala znacznego wydawały się bardzo małe: w zamian wielka zawsze twarz słoneczna co wieczora po skłonie nieba spływała za pasek lasu i zapalały się potem nad nim zorze wieczorne.

Im wyżej, tym smutniej. Na skrawek przestrzeni wolnej, na ptaki skrzydlate, na niebo i światło niebieskie patrząc, te wysoko usadzone okna więzienne zdawały się być oczyma nalanymi czarnością nocy.

Za jednym z tych okien, w izbie więziennej jak wszystkie więzienne izby ciasnej, niskiej, szerniałej i ponurej, Aleksander Awicz siedział pod ścianą na wąskim zydłu i czytał. Przed niewielu dniami posiadał pozwolenie otrzymania z zewnątrz kilku książek i nie wiedział zupełnie, czemu lub komu tę ulgę w losie swym miał przypisać.

Bo aż do tych dni ostatnich surowość postępowania z nim równa była ciężkości jego przewinienia. Za jego to właściwie sprawą wojsko poniosło klęskę od ostrzeżonych przed nim powstańców, czyn ten stwierdził własnym wyznaniem, samemu w lesie uczynionym i po kilkakroć już powtórzonym przed obliczem komisji śledczej. I zachowanie się jego przed tym

zbiorowym obliczem do łagodności skłaniać nie mogło. Na mnóstwo zadawanych mu zapytań nie miał nigdy odpowiedzi żadnej oprócz stałego potwierdzenia czynu, którego dokonał sam. Należał do najodporniejszych, najtwardszych. Do najmniej mównych także, bo czuł, że gdy raz otworzy usta, wszak znowu jak płomień zagorzeć może w uniesieniu takim, z jakim setnikowi kozackiemu rzucił swoje wyznanie.

Zniósł wiele — i cierpienie przeciągnęło po nim swój rylec i swój pędzel. Schudł i spłowiło mu na twarzy męskie jej przedtem zabarwienie. Na czole wyryły mu swe blade piętno dni głuche i noce bezsenne, w oczach odbiła się tęsknota otoczona wspomnieniami i ustępująca tylko przed niepokojem pełnym grobowych widm. Jednak z młodzieńczych tych oczu blask i ogień nie znikły i na pobladłe usta przypomnienia rzeczy minionych sprowadzały niekiedy uśmiechy, z których lada promień życia wykrzesać mógł dawny śmiech wesoły i pusty. Ale wysubtelniał i wyduchowśniał. W wyszczuplonym ciele czuć było jakąś sprężynę, która wyprostowywała je dumnie i jakąś pieśń z nutą smętną, lecz wzbijającą się wysoko.

Przez małą, otwartą w oknie szybkę powiał wiatr i z lekka poruszać mu zaczął na głowie ciemnopłowe włosy. Jakby ręka jakaś opuściła mu na głowę orzeźwiająca piesszczotę, jakby coś z zewnątrz na niego zawołało. Książka wypadła mu z ręki. Porwał się, prawie swawolnym ruchem dawnego Olesia na zydel wskoczył, przy oknie stanął, przez otwartą szybkę patrzeć zaczął. Patrzył na zawieszoną nad dalekim paskiem lasu twarz słońca,

ogromną i jaskrawą, na szmat złotego pola, po którym na kształt czarnych kropel roiły się malutkie z oddalenia istotki i głęboka bruźda cierpienia przerznięła mu czoło.

W tej chwili w ogromnym zamku zazgrzytał klucz i zza drzwi nieco uchylonych basowy głos męski zapytał:

— Pozwalajecie?

Ze zdziwieniem więzień spojrzał na tego grzecznego gościa, który przed wejściem do celi więziennej o pozwolenie wejścia do niej prosił.

Był nim oficer dość wysoki, barczysty i ciężki, z twarzą grubą, choć dość kształtną, z czołem od rumianych policzków bielszym i rudawymi nad nim włosami. Srebrna, wąska taśma z zawieszonym na niej pałaszem ukośną linią przepasywała mu piersi i plecy okryte obcisłym mundurem.

Cela była ciasna; drzwi jej znajdowały się o kilka kroków od okna, u którego, z zydła zeskoczywszy, stał Awicz. Oficer zatrzymał się o krok jeden przed drzwiami, które zamknęły się za nim i znowu kluczem obracającym w zamku zazgrzytały.

— Nie chciałbym mieszać — zaczął — i jeżeli nie w czas przychodzę...

Mówił niezmiernie zepsutą polszczyzną.

— Owszem — wahającym się głosem i wpatrując się w gościa odpowiedział więzień. — Wszakże to pan był... tam... z wojskiem?... Czy może myślę się?

Nie odpowiadając na zapytanie, gość spod rudego wąsa mrukliwie wymówił:

— Mam honor rekomendować się: Apolinary Karłowicki.

— Karłowicki?... Apolinary? — z ruchem najwyższego zdziwienia zawołał więzień.

Skłonił się oficer.

— I Karłowicki, i Apolinary. Dziwi się pan... nu, różne służą na świecie bywają...

— Krewny może biednego Apolka?

Oficer ręką po białym czole powiódł.

— To był mój stryjeczny brat. Jego ojciec i mój ojciec byli rodnymi braćmi.

W celi oprócz wąskiego zydla przy ścianie, którego jeden koniec więzienną pościelą okryty naśladował łóżko, znajdował się jeszcze stołek drewniany i krzywy, brudny, z popękanych desek zbity stół. Oficer postawił stołek przy krzywym stole i usiadł.

— Ja przyszedł, aby z panem o nim pomówić... ja tego chłopca lubił... on mnie był drog... ja dziś tu w więzieniu cały dzień dyżurnym... więc pomyślał sobie: pójdę, rozpytam się o niego... kiedy? jakim sposobem? bo ja nigdy nie spodziewał się... On w Moskwie uczył się. Dwa lata uczył się tam i do starszego brata na święta wielkanocne pojechał. Nu da! Jak pojechał, tak i nie powrócił. Oni tu swój majątek gdzieś mają... więc pan jego pewno znałeś? Czy pan jego znałeś?

— Z bliska, mieszkaliśmy w sąsiedztwie niedalekim.

— Da! da! Jak tylko mnie pan tam... w lesu, swoje nazwisko powiedział, ja zaraz przypomniał sobie, że gdzieś je słyszał,

a potem i to przypomniał, że od Apolka słyshał... On mnie wszystko opowiadał, jak dzieckiem był, kogo znał, z kim bawił się... Ach, nieszczęstnyj! jak on tam popadł? Kto jego namówił? Taki młody... i dobr! Ach, dobr! Kakoje u niewo było dobroje, czystoje, dietskaje sierdce!

Zwiesił głowę i żałość głęboka rozlała się mu po twarzy. Przy tym widać było, że w chwili wzruszenia na usta jego ciśnię się mowa, do której przywykł i w której był biegły. Podniósł po chwili głowę i spotkał się oczyma z utkwionym w niego zdziwionym wzrokiem więźnia. Iskra gniewu zamigotała mu w chmurnych oczach.

— Pan dziwisz się! Czego dziwić się? Dlaczegóż to Apolek bratem moim być nie mógł. Na świecie różne słuczaje bywają. Ot, dwóch rodnych braci było, daleko od siebie mieszkali. Jeden został się przy majątku, a drugi go stracił i jak stracił, na służbę poszedł... w twierskiej guberni służył. Nu da! Tak Apolek był syn jednego brata, a ja był syn drugiego... dieduszka nasz miał imię Apolinary i nas obydwóch tak nazwali. Ale stryja ja nie znał, bo on rano umarł i ja do tego czasu nigdy tu nie przyjeżdżał, a teraz uwy! ze swoim pułkiem przyjechał, żeby miatież uspokajać. I oto co zobaczył! Apolka zabitego zobaczył... chłopca, mego miłego brata!

Przywiązanie do poległego powstańca, dziwne jakoś w grubym człowieku tym, tklawie ujmowało młodego więźnia i zaciekawiał go ten oficer z naturą, jak się zdawało, dość złożoną. Zapytał, jakim sposobem mógł tak z bliska znać stryjecznego

brata, skoro nigdy dotąd w kraju nie był. Oficer z pośpiechem odpowiedział:

— Już mówił, że on dwa lata był w Moskwie, a ja tam wtedy z pułkiem stał. Nu wot my gdzieś się spotkali... jedno nazwisko... pyta się on mnie, czy nie krewny! A ja już wiedział, kto on, i mówię: „Ja wasz stryjeczny brat”. Tak on, sierdecznyj, za szyję mnie objął...

Zatrząśł mu się głos w gardle, grubym kołnierzem munduru otoczonym.

— Familii ja nie mam, nikogo swego na swiecie nie mam... krew odezwała się... polubił brata... I jak nie polubić? Taki dobry, sierdeczny chłopak. I krasawiec że on był! I on mnie polubił, choć czasem i sierzdził się na mnie, nu tam, za różne głupstwa, ale zawsze potem przychodził i mówił... „Ty biedny... co ty winien...”

Zamilkł, ramieniem uczynił gest rozpaczny.

— Co tam już gadać! Co opowiadać. Minęło, propato! Już jego na świecie nie ma... Ale...

Wyprostował się, chmurne jego oczy z wyrazem prośby utkwiły w twarzy więźnia.

— Ale teraz ja przyszedł pana prosić, żeby pan mnie wszystko o nim opowiedział: jak się to stało? Jak do tego przyszło? Kto go namówił?

Opowiadanie było krótkie. Nikt go nie namawiał i przyszło do tego w sposób prosty. Chłopak był żywy, szlachetny, kochał kraj, kochał ideę, uniósł go ten prąd, który unosił innych.

Oficer słuchał z głową spuszczoną, w ziemię patrząc.

— Głupost'! — sarknął.

— Co jest głupostią? — uśmiechnął się Awicz.

— A wot, te wszystkie wasze idee i prądy!

— Wiele by o tym mówić — z nowym uśmiechem rzucił więzień.

— Ja i chciałby z panem wiele o tym pomówić... chciałby bardzo... Nu, ale to później, kiedy ja tu inszego dnia przyjdę... a teraz ot, co ja jeszcze chcę panu powiedzieć...

Dłonie na kolanach oparł, łokcie z fantazją nieco rozstawił; do chmurnych oczu jego zabłądził nikły uśmiech.

— Ja nie tylko dlatego tu przyszedł, aby o Apolka rozpytać się, ale i dlatego także, nu da! dlatego, żeby się poznać z panem... wy mnie tam w lesie podobali się... Na koniu jeździecie jak wojenny człowiek i wot, śmiało wy wtedy w oczy kozackiemu setnikowi patrzyli; jak on wam tę gadką nizost' powiedział, to u was iskry posypały się z oczu i odpowiedzieliście jemu dobrze! Nu, i odwaga to była! Z gołymi rękami pomiędzy sztykami i pikami! Ja wtedy pomyślał sobie: maładiec!

— I nawet powiedział to pan, słyszałem — z wytryskującą na twarz wesołością zaśmiał się więzień.

— Nieuzeli tak? Powiedział? Nu, może i powiedział. Mnie wtedy wszystko we środku przewracało się, a jak we mnie wszystko we środku przewraca się, to ja wtedy czasem sam do siebie gadam.

Śmiał się. Śmieli się obydwaj.

— A czegoż panu wtedy wszystko przewracało się we środku? Uczynił gest niechęci, sposepniał znowu.

— Długo by o tym gadać. Może kiedykolwiek później, jak inszego dnia przyjdę. Ale teraz powiem jedną rzecz, żeby pana pocieszyć! Ja widział, że pan konie lubisz i tego, na którym pan jechałeś, oczyma przeprowadzałeś na pożegnanie, tak jakbyś z przyjacielem żegnał się. To piękny koń i bestia rozumny. Ja nie chciałbym, żeby on w złym ręku zmarnował się i dlatego poprosił, żeby jego mnie oddali. Tamten mój stary już był i za ciężki. Nu, da! Ten koń u mnie jest teraz i ja mogę pana pocieszyć, że on zdrow i że ja z nim obchodzę się jak z dzieckiem.

Więźniowi rzeczywiście oczy pały się z radości.

— Mój Piorun! myślałem, że zabity albo że go męczą, głodzą... Dziękuję panu i za dobre dla niego chęci, i za miłą o nim nowinę. Lubiłem... nie! kochałem to piękne, rozumne zwierzę, w ogóle przepadam za końmi!

— To tak jak ja! — zawołał oficer. — Od dzieciństwa za końmi przepadałem i choć my z nieboszczykiem ojcem w miasteczku mieszkali, to małym będąc zawsze adnakoż choć szkapy jakiej dopadnę i lecę na niej na miasteczko na złamanie karku, tylko że u nas w pieszych pułkach oficerskie konie nietęgie! Ot ten pański... jak on nazywa się? Piorun? Dobrze, ja będę go tak nazywać... takie rozumne zwierzę przywyka do swego... jak to powiedzieć.

— Imienia!

— Da, da! I jak na niego zawołać tym imieniem, do którego przywykł, to głowę odwraca albo jak dziecko za człowiekiem idzie. Ten pański Piorun to krwi angliczańskiej koń, prawda?

— Półkrwi — odparł więzień.

— Takie czasem najlepsze.

Przez kilka minut rozmawiali o różnych rasach koni, ich przymiotach i przywarach. Ożywili się obaj. Więzień zaśmiał się raz głośno i wesoło; oficer zmienił się do niepoznania w tej poufalej gawędzie o przedmiocie wspólnie ulubionym. Zaczął już nawet z mniejszą niż przedtem trudnością mówić po polsku i czasem zatrzymując się wśród mówienia zapytywał: jak to powiedzieć?...

— Przepraszam pana, że zapytam — zaczął więzień — ale chciałbym wiedzieć, gdzie się pan urodził.

— Gdzie ja urodził się? W majątku ojca, w wileńskiej guberni, ale cztery lata miał, kiedy ojcu ten majątek za długi sprzedali i on zaczął o służbę starać się. Służbę prędko on znalazł, ale aż w twierskiej guberni! I my tam wyjeżdżali, kiedy ja pięciu lat jeszcze nie miał. Ale dlaczego pan mnie o to pytał się...

— Tak... — z wahaniem odpowiadał Awicz. — Mówić... pan zapomniał!...

Oficer ręką machnął.

— Ech! Jak ja dzieckiem był, to w domu zawsze po polsku mówił, ale jedenaście lat miał, kiedy do korpusu ojciec oddał... Już on wtedy, przyznać się, troszkę pił i był bardzo biedny, a w korpusie na rządowy szcnot nic nie kosztowało... Tak ja tam i

zapomniał... a potem gdzie było przypominać? Jak z Apolkiem często widywał się, to troszkę sobie przypomniął, bo on inaczej jak na swoim rodzym języku rozmawiać nie chciał...

— Jak to swoim, czy i nie pańskim także? Chyba matka... przepraszam, że jeszcze zapytam, kim była matka pańska?

— Jak to kim?

— Jakiej narodowości?

— Narodności? Jakiejże ona mogła być? Tak samo w wileńskiej gubernii urodziła się... Polka...

Wpół śmiejąc się, wpół z przykrym uczuciem Awicz zawołał:

— Ano to pan z pochodzenia jest Polakiem całkowitym!...

Sposepniał znowu oficer.

— Z praischożdjenja da... no, co znaczy praischożdjenje? Ot, powiem panu, że ja, nim tu z wojskiem przyjechał, nigdy o takich rzeczach nie myślał. Nie przywykł. A jeżeli kiedy i pomyślał, to zawsze tylko tyle, że takie rzeczy połno niczewo nie znaczą. I teraz dopiero ja zaczął o nich myśleć... i zaczęło mnie zdawać się, że one coś znaczą.

Spojrzał na zegarek.

— Adnakoż mnie pora! Zasiedział się ja u pana. Czy pan pozwolisz mnie czasem przychodzić? Sympatju ja mam do pana i bardzo pana żałuję.

Rozejrzał się po celi.

— Smutno tu siedzieć... samemu... w niewygodach? a?

— Niewesoło. Ale teraz mniej smutno, bo książki czytać pozwolili i nawet nie wiem, skąd ta łaska.

Dziwny uśmiech przewinał się po zmarkotniałej już przedtem twarzy oficera. Było w nim figlarności trochę i wewnętrznego triumfu, które jednak prędko zgasły. Na książkę leżącą na zydłu spojrzął.

— Ja czytać nie przywykłem... ale temu, kto przywykłem...

— Temu, kto przywykłem — podjął Awicz — książka dawać może chwile szczęścia w nieszczęściu...

— Nu, to dobrze, że pan ją teraz masz!

Podniósł się ze stołka. Westchnął.

— Nie chce się iść! Niby to pan zamknięty siedzisz, a ja po wolnym świecie chodzę, a adnakoż może panu... jak to powiedzieć... może panu i nie gorzej niż mnie. Bo jaki to świat? Brzydki, podły świat... krew ludzka na nim się leje... ludzie jedni drugich nienawidzą... I najgorsze to, że człowiek sam siebie nie rozumie i czasem sam na siebie chciałby plunąć... To i nie chce się czasem po tym świecie chodzić!

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.